CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK III. WARSZAWA, 11 Września 1938 R. NR. 35-36

Wojna nerwów

W pewnym momencie Wojny Światowej jeden z głównych jej bohaterów, Clemenceau, miał się wyrazić, że wygra ten, kto będzie miał silniejsze nerwy. Znalazło to w dużej mierze potwierdzenie w przebiegu wypadków. Jeśli o klęsce państw centralnych zadecydowała nawet różnica sił, to o rozmiarach i tempie tej klęski zadecydował w pewnym momencie nagły upadek ducha, będący wynikiem nerwowego załamania społeczeństw i przywódców tych państw.

W chwili obecnej, ściśle mówiąc od szeregu miesięcy, jesteśmy świadkami, w pewnej mierze bodajże nawet i uczestnikami swoistej wojny, różniącej się od tej z przed lat dwudziestu kilku tym, że nastąpiło pewnego rodzaju odwrócenie wzajemnego stosunku znaczenia działań bojowych i siły nerwów. Wojna ta toczy się — dotychczas przynajmniej — bez wymiany strzałów i bez działań wojennych. Punkt ciężkości przerzucony został właśnie na próbę wytrzymałości nerwowej.

Europa dzisiejsza przypomina nieco stół karciany, na którym odbywa się licytacja w grze przypominającej pokera. Każdy z uczestników stara się przejawić gotowość rzucenia na stół tego rodzaju atutów, które zrównoważyłyby z nawiązką to, czym może rozporządzać partner współlicytujący. Metoda zdenerwowania i zastraszenia zastosowana jest w całej pełni. Równocześnie jednak, tak przynajmniej należałoby wnosić jeszcze w dniu dzisiejszym, żaden z partnerów nie rad byłby, gdyby istotnie przyszło do rzucenia wszystkiego na stół i do istotnego wykazania przewagi realnej w stosunku do współgrających.

W pierwszym rzędzie zdaje się to stosować do Niemiec, które są licytantem najuporczywszym, najbardziej tajemniczym i — to zdaje się można stwierdzić bez wahania — najbardziej skłonnym do gry ryzykownej.

Niemcy w tej chwili mają sytuację wyjątkowo wygodną. Naskutek zdecydowanego skupienia w swych rękach kart najmocniejszych, w postaci przeprowadzenia faktycznej mobilizacji wojennej, potrafiły narzucić współpartnerom przekonanie, że nie ustąpią bez osiągnięcia celu swej gry, którym jest rozbicie Państwa Czesko-słowackiego i zagarnięcie Sudetów.

W tego rodzaju sytuacjach, jak obecna, wszelkie przepowiednie przyszłości są rzeczą niesłychanie ryzykowną. Nim numer pisma dojdzie do rąk czytelników, mogą zajść wydarzenia, które przesądzą o pokoju czy wojnie, niezależnie nawet od tego, czy wojna w danym wypadku byłaby wynikiem świadomej i planowej woli, czy tylko przeciągnięcia struny w zakresie politycznego i militarnego bluffu.

W każdym razie pewne wnioski wyciągać można. Muszą się one opierać przede wszystkim na analizie stanu faktycznego, który musiałby się wytworzyć w wyniku chwilowej przynajmniej stabilizacji stosunków europejskich na podstawie ostatnio wysuniętych przez Czechosłowację projektów.

Projekty te, jak dotychczas, nie zadawalają strony niemieckiej. Nie mniej jednak w skutkach swych idą one niezmiernie daleko. Najważniejszą ich cechą jest, że rozbijając dotychczasową jedność wewnętrzną Państwa Czesko-słowackiego, nie gwarantują temu państwu na dłuższą metę nic, lub niemal nic, nie gwarantują bowiem istotnej stabilizacji stosunków i istotnego spokoju.

Zarówno projekt tak zwanego kantonalnego ustroju Czechosłowacji, jak stanowiący dalszy etap ustępstw projekt przyjęcia większości postulatów Niemców sudeckich, jest tylko załatwieniem sprawy w danym okresie, jest tylko zyskaniem na czasie, nie jest ostatecznym usunięciem trudności.

Można mieć najdalej idące sympatie dla takich lub innych cech państwowego i społecznego ustroju Czechosłowacji. Gdyby nie Śląsk Cieszyński, gdyby nie akcja tworzenia irredenty ukraińskiej dla Małopolski Wschodniej, gdyby wreszcie nie nonsensowny filosowietyzm czeski i jeszcze bardziej nonsensowne wysunięcie w pewnym okresie walki z polskością na czoło wewnętrznych zainteresowań państwa i społeczeństwa czeskiego — sympatie te byłyby w Polsce zapewne powszechne, głębokie i szczere. Nie mniej jednak i one nie mogłyby przesłonić jednego faktu. Jeśli dziś mówi się o przetworzeniu państwa Czesko-słowackiego w pewnego rodzaju Szwajcarię Europy Środkowej — to pomija się tu bardzo istotne różnice. Siłą realną Szwajcarii jest nie jej ustrój, lecz jej tradycja i głęboki, ponadnarodowy, patriotyzm szwajcarski mieszkańców. Czechosłowacja nie wyzyskała minionego dwudziestolecia dla ugruntowania wśród swej ludności tego rodzaju głębokiego i szczerego patriotyzmu państwowego. Odrobienie tych zaniedbań przy nowym ustroju będzie przedstawiało niezmierne, niemal nieprzezwyciężalne trudności. Stąd też nawet w razie pokojowego przebycia okresu dzisiejszych niebezpieczeństw, przyszłość państwa czeskiego nie przedstawia się jasno. Ta nowa, czeska, Szwajcaria nie będzie miała spokojności i siły swego ustrojowego pierwowzoru. Działanie sił odśrodkowych na terenach etnograficznie nieczeskich zostanie może przejściowo nieco przyhamowane, nie będzie napewno przezwyciężone ostatecznie.

Stąd wniosek powinien płynąć jasny. W istocie sprawy sudeckiej nie ma powodów, dla których Niemcy mogłyby i musiały ryzykować wojnę dla natychmiastowego osiągnięcia dalej idących rezultatów,

niżeli te, które realnie lub potencjalnie zawarte są w ramach już dziś zaproponowanych przez władze czeskie projektów. Jeśli mimo to, czego raczej spodziewać się nie należy, lecz z czym liczyć się trzeba, nastąpiłaby zbrojna agresja niemiecka, będzie to znaczyć, że cele tej agresji wykraczają poza ramy tylko sprawy sudeckiej i troski o przyszłość trzymilionowej rzeszy niemieckiej na tym obszarze. A wówczas będą istniały głębokie i realne przesłanki, by dzisiejsza wojna nerwów na dużym obszarze Europy zamieniła się w wojnę w najpełniejszym tego słowa znaczeniu i o rzeczy największe.

Takiego rodzaju przebiegu wypadków życzyć sobie może naprawdę i bez zastrzeżeń jeden tylko partner polityczny Europy: Rosja Sowiecka. Inni, nie wyłączając Niemiec, mają zbyt wiele do stracenia. Nie mniej jednak w polityce państwowej trzeba się zawsze liczyć z ewentualnościami pozornie najbardziej nawet irracjonalnymi. Stąd też tak ważna w dzisiejszym okresie stosunków europejskich równowaga umysłu i nerwów musi być zawsze oparta o jeden czynnik decydującego znaczenia: spokojną pewność siły własnego ramienia. Truizm ten zarówno na najbliższe dni, tygodnie, jak też na długie bodajże lata, zdaje się być najgłębszym i najrealniejszym ze wszystkich politycznych pewników.

Zbigniew Domaniewski

Japoński dynamizm

Znakomity geograf Ratzel, twórca geografii politycznej, odkrył w drugiej połowie ubiegłego stulecia niezmiernie doniosłe „prawo rosnących obszarów". Opierając się na założeniu, że każda ziemia, każde morze „zawsze powinny być ujmowane jako obszar, który pragnie być nasamprzód poznany, zamieszkany i politycznie wypełniony, zanim może oddziaływać na zewnątrz" Ratzel wykazuje, iż ten wewnętrzny rozwój „objął i wypełnił zrazu małe obszary, a potem przeszedł do większych".

Przeglądając karty dziejów widzimy np. jak historia polityczna morza w kręgu cywilizacji zachodniej zaczyna się na małym obszarze Morza Egejskiego, potem — z rozwojem kolonizacji greckiej — obejmuje rozleglejsze Morze Śródziemne i staje na progu Oceanu Atlantyckiego. Podróże odkrywcze Wikingów, Portugalczyków i Kolumba rozciągnęły nici polityki światowej na całym obszarze tego dotkniętego już przez starożytnych żeglarzy Mare Oceanum i objęły nimi znaczną część Oceanu Indyjskiego. „Od wybrzeża do wybrzeża — mówi Ratzel — historia wyrosła ponad morza, nasamprzód ponad ciasne, potem ponad rozległe" i dodaje: „Ocean Spokojny będzie zawsze największy". Otóż, prowadząc dalej tę myśl, zadajemy sobie pytanie, czy polityczna historia morza, która wychodząc z Morza Egejskiego minęła Morze Śródziemne i objęła Ocean Atlantycki, przesunie się z kolei na Ocean Spokojny jako na swój obszar zasadniczy?

Na razie wiemy tylko, że z pośród wszystkich oceanów Pacyfik jest politycznie najmniej spacyfikowany. Atlantyk, który kilkanaście lat temu zagrożony był możliwą wojną między Anglią i Stanami Zjednoczonymi, nie daje na razie powodu do obaw. Ocean Indyjski, otoczony pierścieniem kolonij, mandatów, dominiów i sfer wpływów Wielkiej Brytanii, — owe brytyjskie Mare Nostrum, — przeżywa błogosławieństwa Pax Britannica. Natomiast Ocean Spokojny jest świadkiem niepokojącego wzrostu nowej, agresywnej potęgi morskiej — Japonii. Przywódcy jej bez wahania zaliczają się do owych mężów co „tworzą historię". Musimy więc brać pod uwagę jako zapowiedź wielkich wydarzeń ten dynamizm Japonii, jej chęć otworzenia nowego rozdziału historii Oceanu Spokojnego, a tym samym nowego rozdziału wielkiej księgi historii świata. Przy tym jednak zapytamy, czy Japonia posiada takie obiektywne możliwości i czy znajduje się wobec takich obiektywnych warunków, jakie uczyniłyby jej chęć tworzenia historii realną. Można bowiem z całą słusznością twierdzić, że jak była kiedyś epoka wielkich odkryć geograficznych, kiedy to każdy, kto posiadał okręt, wybierał się na odkrycie świata, tak dziś otworzyła się epoka niecierpliwych pragnień historiotwórczych, w której każde państwo, które tylko posiada silną armię i temperament ewolucyjny, a z drugiej strony każdy naród, który nie posiada własnego państwa, pragnęłyby wywracać do góry nogami bliższe lub dalsze polityczne dziedziny ziemi. W takim okresie czasu zbytnie puszczanie wodzy myślom i dociekanie, gdzie należy oczekiwać światoburczych wydarzeń, gdyż jakieś duże czy małe państwo, lub jakiś wielki czy średni naród ma wielkie pragnienia, przyczyniłoby się tylko do powiększenia anarchii międzynarodowej, która niewątpliwie dziś zapanowała. Zagadnienie dynamizmu japońskiego należy więc rozpatrywać, zachowując ścisłą równorzędność spojrzeń z dwóch punktów widzenia: subiektywnych dążeń i obiektywnych możliwości Japonii. — Zastrzeżenie, w oczywistości swej napozór zbyteczne, jednak w atmosferze wybujałej fantazji politycznej i notorycznego panikarstwa — konieczne.

Powróćmy z kolei do naszego punktu wyjścia, do prawa rosnących obszarów. Jak stosowaliśmy je celem otworzenia pewnej historycznej, światowo politycznej perspektywy, tak można i należy je zastosować celem ułatwienia sobie orientacji wśród obiektywnych i subiektywnych elementów polityki zagranicznej Japonii.

Określimy nasamprzód obszar, który był „zamieszkany i wypełniony politycznie" zanim Japonia zaczęła działać na zewnątrz. Obszarem tym było japońskie Morze Śródziemne i przybrzeżne dziedziny zamykających to morze wysp Hondo i Shikoku, szczególnie wyspy Hondo. W obszarze japońskiego Morza Śródziemnego przeżyła Japonia wieloletni okres rozmyślnego zamknięcia i odgrodzenia od świata zewnętrznego, w tej komórce geograficznej uformowała się rasa, kultura i psychika polityczna narodu. Psychika polityczna, jeśli chodzi o stosunek do świata zewnętrznego, kształtowała się pod dominującym wpływem dwóch czynników. Jeden to fakt, że w ciągu całej swej długiej historii Japonia nigdy nie była świadkiem najazdu i zniszczenia przez wroga. Przeżyła tylko parokrotne uderzenia z zewnątrz. Drugim czynnikiem historycznym był charakterystyczny układ geograficzno-polityczny, stanowiący chronologicznie pierwotną postać państwa japońskiego. Centrum tego układu tworzyło morze, japońskie Morze Śródziemne, otoczone pierścieniem terytoriów południowej Hondo i Shikoku, stanowiących wraz z łączącym je morzem ośrodek życia kraju, dalej otoczone feudalnymi marchiami na centralnej i północnej Hondo, na Hokkaido i Kiushu, chroniącymi ośrodek życia od uderzeń z zewnątrz. Z tym geograficzno - politycznym układem związane są zarówno dzieje rasy, jak i kultury japońskiej, związana jest z nim tradycja narodowa we wszystkich swych elementach od najzamierzchlejszych czasów do roku 1870.

W roku tym miało miejsce przeniesienie stolicy państwa z położonego w obszarze śródziemnomorskim Kioto do Yeddo, dzisiejszego Tokio. Nastąpiło to po wstrząsającej dla narodu japońskiego interwencji komandora Perry'ego i było przejawem wspomnianego przez Ratzel'a wyrastania historii ponad morze, w danym wypadku historii Japonii ponad japońskie Morze Śródziemne. Przeniesienie stolicy z Kioto do Yeddo oznaczało w sensie geopolitycznym m. in. przeniesienie jej nad brzeg Pacyfiku, na próg największego morza świata. Nie znaczy to oczywiście, żeby historia Japonii miała przenosić się *bezpo-*

średnio z małego japońskiego Morza Śródziemnego na przeogromny Ocean Spokojny. W ślad za zmianą położenia geograficznego stolicy miały miejsce i inne geopolityczne działania, w pierwszym rzędzie intensyfikacja ekspansji japońskiej na Koreję. Ekspansja na Koreję była, jak się okazało z okazji wojny japońsko-chińskiej (1894 — 1895), również zasadniczą ewolucją państwa japońskiego jako organizmu geograficznego. Wychodząc ze swej pierwotnej komórki geograficznej — Morza Śródziemnego, państwo japońskie skierowało się do chronologicznie wtórnej, również morskiej komórki — do Morza Japońskiego, którego wybrzeża tworzy m. in. Korea. Zgodnie z prawem rosnących obszarów ewolucja państwowa Japonii, po wypełnieniu obszaru małego morza, zaczęła wypełniać obszar morza większego. Położenie geograficzne stolicy — Tokio — nad Pacyfikiem jako czynnik geopolityczny nie przestało tymczasem oddziaływać, odgrywając jednak w geograficzno - politycznym rozwoju Japonii, mimo pokojowej aneksji wysp Liu-Kiu i Formozy, wtórną rolę. Na Morze Japońskie Japonia skierowała główny ciężar swych uderzeń mocarstwowych, na Pacyfik, ku któremu spoglądała z Tokio, wysyłała główne kontygenty emigrantów. Działo się to — jak wszystko zresztą w polityce — zarówno pod wpływem instynktu, jak i warunków obiektywnych. Instynkt polityczny Japonii ukształtował się nad Morzem Śródziemnym, które było małym japońskim More Nostrum. Kiedy więc ewolucja polityczna miała wyjść z tego morza w poszukiwaniu większego obszaru, instynkt polityczny musiał oczywiście kierować naród na taki obszar, w którym mogło powstać nowe, większe japońskie Mare Nostrum. Warunki objektywne podpowiadały instynktowi, że takim obszarem na razie nie może być Pacyfik, tylko Morze Japońskie. Pomijając już rozmiary, na Pacyfiku ekspansja mocarstwowa Japonii styka się z najpotężniejszymi mocarstwami świata, natomiast na azjatyckich wybrzeżach Morza Japońskiego Japonia ścierała się z bezwładnym kolosem chińskim i bierną Rosją carską. Wybrzeża Morza Japońskiego były więc dla dynamizmu Japonii terenem najmniejszego oporu. Dołączyły się do tego względy gospodarcze. Japonia przekształciła się z państwa rolniczego w przemysłowe, potrzebowała surowców i rynków zbytu, które widziała w obfitości na okalających Morze Japońskie terytoriach azjatyckich. Działały zresztą i inne jeszcze czynniki, które na razie pomijamy.

Z drugiej strony Japonia nie mogła i nadal nie może zapominać ani na chwilę, że w żyłach jej synów płynie 60%-owa domieszka krwi dawnych mieszkańców i władców wysp Oceanu Spokojnego. Na podstawie doświadczeń utwierdziła się w przekonaniu, że Japończycy nie są w stanie znieść surowego klimatu dostępnych dla kolonizacji osadniczej okalających Morze Japońskie obszarów Azji kontynentalnej, są natomiast idealnie dostosowani do warunków naturalnych, panujących na południowych wyspach Pacyfiku. Wyspy te posiadają bogactwa surowcowe i są, w przeciwieństwie do wysokiej prężności ludnościowej, trapiącej Japonię, w mniejszym lub większym stopniu ludnościowymi próżniami. Wbrew więc wymowie obrachunku sił mocarstwowych, krew i warunki osadnicze kierowały zawsze i nadal będą zwracać Japonię ku obszarowi Pacyfiku. Zresztą Japonia przypomina sobie doskonale, że jeszcze w roku 1870 Stany Zjednoczone nakładały pęta na jej zaborczość, tymczasem w pół wieku potem była już władczynią szeregu wysp północnej połowy wyspiarskiego pasa, okalającego Azję i Australię, niby zwartego gościńca, prowadzącego z Japonii do Nowej Zelandii. Japonia przypomina sobie również, jak osiągnęła to, nie zważając na niezadowolenie mocarstw, przy wyzyskaniu ich wzajemnych sporów. Wystarcza to oczywiście, żeby Japończycy uznali swój pochód ekspansyjny, który wywiódł ich z czterech wysp macierzystych w r. 1871 na Liu-Kiu, w r. 1895 na Formozę, w r. 1919 na wyspy Mikronezji, za wymarsz do celów leżących jeszcze dalej na południu: Filipiny, Indie Holenderskie, Australia.

W politycznej ewolucji Japonii daje się więc zauważyć zdecydowany dualizm dążeń terytorialnych. Z jednej strony dążność do utworzenia z Morza Japońskiego nowego japońskiego Mare Nostrum i gospodarczego opanowania jego zaplecza, co wprowadza Japonię w konflikt z mocarstwami kontynentalno-azjatyckimi, z drugiej dążność do opanowania wysp Pacyfiku, co wprowadza Japonię w konflikt z mocarstwami oceanicznymi, Wielką Brytanią, Stanami Zjednoczonymi i Francją.

Dualizm japońskich dążeń narodowych można uznać za pewnik. Problemem może być conajwyżej kwestia formy ich realizacji i ewentualnej kolejności realizowania. Jednak w zamierzeniach ekspansyjnych Japonii, kierujących ją zarówno w głąb kontynentu Azji, jak i w bezmiar Oceanu Spokojnego, kwestja kolejności realizowania nie może budzić żadnej wątpliwości, nie jest w istocie żadnym problemem, lecz sprawą oczywistą. Przekonywuje nas o tym strategia.

Załóżmy, że Japonia uznaje opanowanie wysp Oceanu Spokojnego za swój zasadniczy cel dziejowy. W takim razie musi ona postawić sobie jako najbliższe zadanie możliwie silne uzbrojenie się na morzu. I wtedy, rozumując konsekwentnie, musiałaby Japonia ustanowić następującą hierarchię zadań częściowych: 1) postawić się w położeniu politycznym i strategicznym, w którym armia lądowa pochłaniałaby możliwie najmniejszą część gospodarczych wysiłków narodu, 2) stworzyć takie warunki gospodarczego rozwoju Japonii, w których stało by się realnie osiągalne zbudowanie floty tak potężnej, żeby była w stanie pokonać połączone floty pozostałych mocarstw żywotnie zainteresowanych na Pacyfiku.

Obecna strategiczna i gospodarcza sytuacja Japonii nie odpowiada tym warunkom. Budżet marynarki Japonii pochłaniał np. w roku 1935/36 tylko 51,8% całkowitego budżetu zbrojeniowego, podczas gdy budżet marynarki Wielkiej Brytanii w r. 1913/14, kiedy była ona mocarstwem jednostronnie morskim, wynosił 63% budżetu zbrojeniowego. W dodatku Japonia ma dziś znaczną część floty unieruchomioną na Morzu Japońskim, dla utrzymania przewagi nad flotą sowiecką, tak że na zbrojenia na właściwym Pacyfiku Japonia nie wydaje dziś więcej niż 30 — 35% sum przeznaczonych na obronę kraju. Odwrócenie tego stosunku, t. zn. stworzenie warunków, w których 65 — 70%, lub więcej, będzie mogło być wydane z myślą o walce o prymat na Pacyfiku, wymaga, aby Japonia, zwrócona jedną stroną ku Pacyfikowi, drugą ku pobliskiemu lądowi, zabezpieczyła sobie tyły przez usunięcie groźby, jaką są dla Japonii siły zbrojne Sowietów. Spełnienie drugiego postulatu strategii dziejowej Japonii, t. zn. stworzenie takich warunków gospodarczego rozwoju, w których mogłaby zbudować flotę zdolną rywalizować o prymat siły na Pacyfiku i otworzyć Pacyfik dla ekspansji japońskiej, możliwe jest dla ubogiej w bogactwa naturalne i przeludnionej Japonii *tylko w następstwie* politycznego opanowania surowców i rynków zbytu w Chinach.

A więc, zakładając nawet, że Japonia uznaje za swój zasadniczy cel dziejowy opanowanie Oceanu Spokojnego, dochodzimy do wniosku, że musi ona nieodzownie opanować gospodarcze obszary Chin i usunąć sowiecki miecz z Morza Japońskiego, czyniąc z niego japońskie Mare Nostrum.

Są to dla Japonii cele najbliższe. d. n.

Adres Redakcji i Administracji
Warszawa, Żórawia 7 m. 30, t. 809.20.

Bolesław Srocki

„Szewska pasja" czy argumenty

Na polemiczny nasz artykulik w poprzednim numerze „Narodu i Państwa" odpowiedział w numerze nr. 39 „Prosto z mostu" p. red. Piasecki obszerniejszym artykułem wstępnym p. t. *„Nieobyczajny wybryk"*. Artykułu tego nie możemy pozostawić jako ostatniego słowa dyskusji. Zbyt wiele w nim dowolności polemicznej przy równoczesnym wprowadzeniu do dyskusji szeregu momentów nowych.

NIEŚCISŁOŚCI

Naprzód nieścisłości. Artykulik nasz, jak łatwo sprawdzić, składał się z dwóch części. W pierwszej mówiliśmy w sposób ogólny o metodach dyskutowania u nas o sprawach demograficznych, w szczególności o zagadnieniu przyrostu naturalnego, stwierdzając, że nie można dokonywać porównań liczb oderwanych od ich naturalnego podłoża, gdyż otrzymuje się wnioski jednostronne. Ta część dotyczyła nie jednego autora, ni jednego pisma, lecz była uwagą ogólną, na marginesie całej dyskusji prasowej na ten temat. Dopiero w części drugiej przechodziliśmy do określonego pisma i określonego autora, wyrażając krótko krytyczny pogląd o formie literackiej („dziwacznej, nieprzyjemnej i pretensjonalnej, utrudniającej zrozumienie poszczególnych fragmentów myśli Autora") dwóch artykułów p. Majdańskiego w „Prosto z mostu", dyskutując zaś rzeczowo tylko z jednym, wyraźnie określonym i wskazanym, poglądem p. Majdańskiego, to jest poglądem o niebezpieczeństwie, płynącym z dostarczania wsi pomocy lekarskiej, która — zdaniem p. Majdańskiego — zamieni się w zorganizowany, masowy „ubój dzieci", w postaci upowszechnienia t. zw. „niedozwolonych operacji".

Pan red. Piasecki w swej odpowiedzi wybrał znaną metodę. Przekonywuje nas przede wszystkim o słuszności nie tych twierdzeń i metod polemicznych, któreśmy kwestionowali, lecz innych, których albośmy nie dotykali, albośmy nawet wyraźnie podkreślali ich doniosłość. Tego rodzaju metoda wyminięcia taktycznego daje zawsze rezultaty jednostronnie dobre. Ktoś, kto zna tylko jedną stronę polemiki, w danym wypadku tylko artykuł p. Piaseckiego, może ustalić sobie pogląd o słuszności reprezentowanego stanowiska. Lecz przecież zręczne wyminięcie argumentów strony przeciwnej, dokonane pod kątem widzenia potrzeb tylko własnego czytelnika, nie powinno być celem istotnie rzeczowej dyskusji. Wartościowe starcie się polemiczne musi mieć *określony przedmiot*, nie może być rozmową dwóch głuchych, z których każdy mówi o czym innym. Jeśli my piszemy o znaczeniu pomocy lekarskiej dla wsi z punktu widzenia naszej siły ludnościowej, w związku zaś z tym o niedopuszczalności uproszczeń, sprowadzających zagadnienie do tego, że nienarodzonym jeszcze niemowlętom grożą „drapieżne, chciwe czterdziestozłotowych datków, ręce lekarzy" — to argumentem przeciwko temu nie może być ogólne pouczanie nas o znaczeniu utrzymania dużej liczebności urodzin, czy o wadliwości takich lub innych punktów polskiego ustawodawstwa w tej dziedzinie.

Jest to nieścisłość nie jedyna, lecz zasadnicza, z której już płyną inne, drobniejszego znaczenia. Nad tymi nie będziemy się zatrzymywać, poprzestając — o ile możności — na dyskusji merytorycznej z ważniejszymi fragmentami artykułu p. Piaseckiego.

AUTORYTET D-RA ORMICKIEGO

W naszym artykule dwukrotnie powołaliśmy się na liczby i fakty, zawarte w wydrukowanych dotychczas w naszym piśmie dwóch rozdziałach pracy d-ra Ormickiego o „Naturalnym ruchu ludności w Polsce".*) Pan red. Piasecki pragnie pobić nas naszą bronią. Cytując pewien fragment pracy d-ra Ormickiego, wyciąga z tej cytaty następujący wniosek:

> „Okazuje się więc z tych słów fachowca i naukowca, że splot czynników, wpływających na spadek przyrostu ludności, nie jest znów tak bardzo skomplikowany. Dr. Ormicki wylicza takie czynniki dwa: sytuacja gospodarcza i poglądy docierające z Zachodu".

Stwierdziwszy zaś, że w pierwszym okresie załamania się naszego przyrostu naturalnego, to jest w pięcioleciu 1927 — 1931, nie działały przyczyny gospodarcze, konkluduje:

> „W tym pierwszym okresie jako jedyny czynnik pozostanie to, co dr. Ormicki nazywa enigmatycznie „poglądami docierającymi z Zachodu".

W ten sposób mamy być już zupełnie rozłożeni na łopatki w tym punkcie polemiki, który odpowiada postawionej przez nas tezie, że wniosków w sprawie przyrostu naturalnego w Polsce nie można wysnuwać „nadmiernie jednostronnie".

Ba! Lecz red. Piasecki jest w danym punkcie swych rozważań w pozycji już nie tylko tego gościa ogrodu zoologicznego, który, zachwycając się mrówkami i motylami, nie zauważył słonia, jest w pozycji człowieka, który — rozprawiając o klamce wejściowej — nie zauważył ani drzwi, ani gmachu, w którym klamka ta jest umieszczona. Nie można chyba znaleźć bardziej klasycznego przykładu tych właśnie uproszczeń, o których pisaliśmy jako o niebezpiecznej cesze naszej publicystyki w odniesieniu do zagadnień demograficznych, jak właśnie sprowadzenie całości pracy d-ra Ormickiego, poświęconej w pierwszym rzędzie badaniom wahań okresowych w naszym ruchu ludności, kładącej nacisk na szereg czynników i zależności, obszernie ujmującej sprawę śmiertelności dzieci w pierwszym roku życia — do podkreślenia jednego tylko czynnika: „poglądów docierających z Zachodu".

Zgadzamy się na autorytet d-ra Ormickiego w tych sprawach. Jednakże nie możemy zgodzić się, by właściwym sposobem komentowania autorytetów była dowolna interpretacja jednego oderwanego zdania z pominięciem całości, chociażby nawet całość ta była pisana „sucho, fachowo i trudno". Obraz rzeczywistości jest często „suchy", w porównaniu z obrazem fantazji. Nie znaczy to jednak, by można było dobrze pełnić służbę publicystyczną przy lekceważeniu nawet i „suchych" stron rzeczywistości.

I tutaj jedno jeszcze drobne sprostowanie faktyczne. Nie jest ściśle, byśmy namiętnemu w tonie artykułowi p. Majdańskiego przeciwstawiali „beznamiętny", „suchy, fachowy i trudny" artykuł p. Ormickiego jako wzór do naśladowania. Jest nieco inaczej. Przeciwstawiając jednej tezie artykułu p. Majdańskiego *liczby* zaczerpnięte z pracy d-ra Ormickiego, mieliśmy cel znacznie szczuplejszy. Nie negując potrzeby artykułów „namiętnych", chcielibyśmy jedynie, by nawet najbardziej „namiętna" publicystyka liczyła się z koniecznością poszanowania liczb i faktów „beznamiętnych". Inaczej przestaje być publicystyką, staje się tylko wyładowaniem namiętności.

BOY I MAJDAŃSKI

Pan Piasecki bardzo wysoko ceni służbę pisarską p. Majdańskiego, z szacunkiem każe wymieniać samo nazwisko „Majdański". Szczerze gratulujemy p. Majdańskiemu tego uznania. Nie możemy jednak zataić, że mamy pewne wątpliwości w odnie-

*) Część trzecia tej pracy, poświęcona naszej polityce populacyjnej, ukaże się w jednym z najbliższych numerów.

sieniu do sposobu odmalowania przez p. Piaseckiego rzeczywistości polskiej w następujących zdaniach, dotyczących roli publicystycznej p. Majdańskiego:

„...sam jeden, pierwszy, na własną rękę poważył się na to, na co przed nim nie zdobył się w Polsce nikt: na rozpoczęcie ofensywy przeciw boyizmowi".

albo o książce p. Majdańskiego „Giganci"

„Do dzisiaj jest jedyną przeciwwagą dla setek broszur i książek krajowych i tłumaczonych na polski „reformatorów seksualnych".

Wydaje się, że p. Piasecki nieco przecenia rolę Boy'a jako wychowawcy społeczeństwa, bardziej zaś jeszcze przecenia i wyolbrzymia zagadnienie rzekomej odwagi, potrzebnej dla występowania w Polsce przeciwko Boy'owi, czy też zagadnienie jakiejś zupełnie fikcyjnej izolacji, w której rzekomo rozwija się w Polsce walka p. Majdańskiego przeciwko „reformatorom seksualnym". Nie będziemy tutaj gromadzili dowodów. Sprawa zdaje nam się dostatecznie jasna. Chociażby nawet fakt, że w dalszym ciągu swego artykułu może p. Piasecki przytoczyć rzeczowy wyjątek z poważnej broszury, wydanej nakładem Polskiego Towarzystwa Eugenicznego, świadczy, że troska o zagadnienia populacyjne Polski nie jest wyłącznym monopolem p. Majdańskiego. Nie będziemy jednak przedłużali dyskusji na ten temat. Inny punkt tej sprawy uważamy za bardziej zasadniczy.

W zestawieniu nazwisk Boy i Majdański jest pewien moment wysoce istotny i charakterystyczny. Pan Piasecki uczuje się tutaj zapewne bardzo urażony. Otóż istotą tego zestawienia jest fakt, który występuje z dużą jaskrawością przy porównaniu sposobu pisania obu tych, na tak różnym poziomie intelektualnym stojących, pisarzy, że p. Majdański jest niewątpliwym, aczkolwiek może nieświadomym, uczniem i epigonem pisarskim Boya.

Jeśli p. Piasecki pisze o rewolucyjnej odwadze artykułów p. Majdańskiego, to zapewne ma na myśli *nie treść* tych wystąpień, która sprowadza się do obrony bardzo popularnych i łatwych tez, lecz ich formę, której istotną cechą — obok dziwacznego „sasko"-amerykańskiego baroku — jest pogoń za drastycznością wyrażeń z zakresu spraw drażliwych. Pan Majdański stara się przelicytować Boya w plastyce określeń, lecz nie ma jego kultury. Stąd pochodzą tego rodzaju — bynajmniej nie wyjątkowe — fragmenty, jak:

„...im większa „pani" tym gorliwiej oszczędza... na dzieciach. Uprawia takie swojego rodzaju rzerzackie PKO czy KKO".

albo:

„...pani chce sobie zaoszczędzić na lisa, no i idzie do szpitala Świętego Antoniego i każe sobie małe wywlec i zarżnąć (w Dzień Matki). Teraz uszczęśliwiona kupiła lisa. Za kilka miesięcy zarżnie nowe dziecię i wtedy mąż kupi nowe meble. Jeszcze kilka „operacji" i „małżonkowie" — kupią sobie plac. Jeszcze kilka — postawią willę. Za zarżnięte dzieci. Za oszczędności..."

Zdaniem p. Piaseckiego jest to walka z „boyizmem". Naszym zdaniem jest to coś wręcz przeciwnego: przeszczepianie ujemnych stron „boyizmu" — jako zjawiska kulturalnego — na grunt, na którym dotąd nie znajdował podłoża dla rozwoju. W praktycznych skutkach byłaby to walka nie o kulturę bez drastyczności, lecz o drastyczność bez kultury. Czyż p. Piasecki w tym chciałby widzieć misję apostolską p. Majdańskiego i swego pisma? Jeśli tak — to wolna wola. Niech jednak i nam będzie pozostawiona wolna wola nie zachwycania się takim apostolstwem.

MOMENTY ISTOTNE

Nie chcemy nadmiernie przedłużać dyskusji. Chcemy jednak dotknąć również momentów istotnych samego zagadnienia. Pan Piasecki w pewnym miejscu podsuwa nam chęć prowadzenia nieco scholastycznego sporu:

„...wbrew temu, co pisze „Naród i Państwo", nie zagadnienie śmiertelności dzieci (stale się w Polsce zmniejszającej), ale właśnie zagadnienie spadku urodzin jest tym czynnikiem, który rozstrzygająco wpływa na spadek przyrostu ludności w Polsce".

W zdaniu tym zawarta jest jedna z tych nieścisłości fragmentarycznych, o których pisaliśmy na wstępie. Jako żywo nie możemy odnaleźć w naszym artykuliku miejsca, w którym podejmowalibyśmy spór co jest ważniejsze: śmiertelność dzieci, czy spadek przyrostu naturalnego. Pisaliśmy jedynie, że ktoś, kto dzwoni na alarm spowodu niebezpieczeństw wprowadzenia na wieś lekarza, jako rzekomo naturalnego specjalisty od wykonywania tak zwanych „operacji niedozwolonych", nie może zamykać oczu na straty naszego zapasu ludzkiego, wynikające z nienormalnej śmiertelności dzieci.

Nie chcielibyśmy jednak, aby w wyniku artykułu p. Piaseckiego mogła w tym punkcie utrwalać się sugestia lekceważenia naszych strat w zakresie śmiertelności najmłodszych roczników.

Co jest ważniejsze? — Ważne niewątpliwie jest i jedno i drugie. Jednakże jeśli chodzi o możność zlekceważenia roli śmiertelności dzieci w stanie naszego przyrostu naturalnego, to lekceważenie faktu może tu być wynikiem jedynie zupełnego zlekceważenia liczb.

Co mówią liczby? — Otwórzmy najdostępniejsze i najpopularniejsze ich źródło: „Mały Rocznik Statystyczny" za rok 1938. Na stronicy 46 znajdziemy dane ruchu naturalnego ludności w Polsce za poszczególne lata ostatniego siedemnastolecia. Jeśli zsumujemy nasz przyrost naturalny za pięć lat ostatnich, to jest za lata 1933 — 1937, otrzymamy łącznie 1.995.000 głów. Jeśli zsumujemy te same dane dla okresu wcześniejszego o jedno dziesięciolecie, to jest za lata 1923 — 1927, otrzymamy 2.435.000 głów. Różnica dla obu okresów wyniesie 440.000 głów, czyli spadek przeciętny dla jednego roku ostatniego pięciolecia, w porównaniu z okresem o dziesięć lat wcześniejszym, wyniesie 88.000 głów.

Jest to liczba bardzo poważna. Niemniej poważna jednak jest i druga liczba, którą otrzymamy jako przeciętną dla ostatniego pięciolecia w zakresie śmiertelności dzieci. W pięcioleciu 1933 — 1937 zgony niemowląt w Polsce według tejże tablicy wyniosły łącznie 589.000. Daje to okrągło 118.000 rocznie. Ponieważ według norm zachodnioeuropejskich liczba ta powinna być mniej więcej trzykrotnie niższa, to jest wynosić około 40.000, otrzymujemy stąd wynik zupełnie wyraźny: spadek liczbowy naszego przyrostu naturalnego w latach 1933—1937 w stosunku do lat 1923 — 1927 odpowiada dość ściśle liczbie, wyrażającej nieuzasadniony ubytek naszej siły żywej naskutek nienormalnej śmiertelności niemowląt w wieku do jednego roku życia. Znaczy to, że nawet przy dzisiejszej stopie urodzin, jedynie przy usunięciu warunków nienormalnie wysokiej śmiertelności dzieci w pierwszym roku życia, moglibyśmy utrzymać nasz przyrost naturalny na poziomie z przed lat kilkunastu, to jest na poziomie szczególnie wysokim, wynoszącym około 15 — 20% całości dzisiejszego przyrostu naturalnego Europy, liczonej bez państw Związku Sowieckiego.

Użyliśmy tutaj określenia dość ściśle. Pozornie mieliśmy prawo do określenia z upełnie ściśle. Byłoby to jednak błędne. O ile bowiem liczbę spadku naszego przyrostu naturalnego możemy uważać za mniej więcej realną, to nie możemy tego samego powiedzieć o liczbach, dotyczących śmiertelności niemowląt. Ze zrozumiałych względów, szczególnie na terenie województw wschodnich i częściowo centralnych **), poważna liczba zgonów niemowląt w ogóle uchodzi rejestracji. Istotna więc wysokość naszych strat w tej pozycji jest napewno poważnie większa. Dodać należy, że są to tylko straty, wynikające ze śmiertelności dzieci w ciągu pierwszych dwunastu miesięcy życia.

Nie chcemy — jak powiedzieliśmy — sporów scholastycznych. Czy jednak w świetle tych liczb p. Piasecki nie zechce nieco zmodyfikować swego stanowiska w stosunku do niewątpliwie poważnie niedocenionego przez niego zagadnienia śmiertelności dzieci w Polsce?

Tym bardziej, że w świetle cytowanego wyżej, tak nieskomplikowanego i łatwo do-

---

**) Jest rzeczą charakterystyczną, że najwyższy odsetek śmiertelności niemowląt statystycznie wykazują województwa południowe i zachodnie, najniższy wschodnie. Oczywiście jest to wynikiem tylko niepełności rejestracji w województwach wschodnich i centralnych.

stępnego źródła jak „Mały Rocznik Statystyczny", nawet i zawarta w nawiasie uwaga o „stałym zmniejszeniu" śmiertelności dzieci nie okaże się tak pewna i słuszna. Okaże się bowiem, że śmiertelność dzieci w wieku do 1 roku wyniosła w roku 1937 — 117.000, czyli niemal dokładnie tyle, ile wynosi przeciętna dla całego pięciolecia, zaś odsetek tej śmiertelności w stosunku do 100 urodzin żywych wynosił w roku 1937 13,6, gdy np. w roku 1935 — 12,7, w roku 1933 — 12,8. Są to liczby nie pozostawiające miejsca dla zbytniego optymizmu.

Nie chcemy zaś posądzać ani p. Majdańskiego, ani tym bardziej p. Piaseckiego, by ważne było dla nich dziecko tylko przed urodzeniem, przestawało zaś wymagać opieki i ochrony po urodzeniu. Byłby to już jakiś niezrozumiały fanatyzm położniczy, nie troska o istotne moralne i materialne siły Narodu.

I tutaj dochodzimy do punktu szczególnie trudnego, lecz i szczególnie istotnego. Zagadnienie utrzymania wysokiej liczby urodzin, wysokiego przyrostu naturalnego, w naszych warunkach jest zagadnieniem o niewątpliwej zasadniczej doniosłości. Nie może ono jednak być traktowane w oderwaniu od całości naszych warunków gospodarczych, społecznych i kulturalnych. Walka o prawo dziecka do przyjścia na świat może być uzasadniona moralnie tylko w łączności z równoczesną walką o zapewnienie temu rodzącemu się człowiekowi istotnie ludzkich warunków egzystencji. Przypomnimy tu p. Piaseckiemu wyjątek z wydanej niedawno książki p. Jerzego Ostrowskiego, drukowanej bodajże wcześniej w postaci reportaży na łamach „Prosto z mostu", omawiający odpowiedź dziewięcioletniej uczennicy III-go oddziału szkoły powszechnej na zapytanie, czym chciałaby być w życiu, brzmiącą: „Chciałabym być krową, bo dobrze by mi było w domu!" Czyż temu dziecku, marzącemu by być krową, nie człowiekiem, ma się komplikować prawo nawet do opieki lekarskiej tylko dlatego, że **już** przyszło na świat? Czy ma się co najmniej nie doceniać palącej pilności tej sprawy?

Lecz w dzisiejszych warunkach, kiedy mówi się o prawach człowieka, trzeba zawsze liczyć się z łatwym argumentem, że jest to „mdły humanitaryzm". Nie inaczej jednak zagadnienie to wygląda i z punktu widzenia społecznego. Kto w tej dziedzinie czuły jest tylko na wymowę statystycznej liczby urodzin, jako istotnie ważnego miernika siły państwowej i narodowej, niech zada sobie trud powiązania tej liczby z inną, która ją poważnie osłabi i zredukuje, z liczbą zdyskwalifikowanych przy lekarskim badaniu poborowych. Okaże się, że związek pomiędzy tymi liczbami jest dosyć istotny. Okolice o szczególnie dużej płodności posiadają również i szczególnie wysoki odsetek ludzi, którzy z punktu widzenia siły i obronności państwa są bardziej pozycją statystyczną, niżeli realną. I znowuż zagadnienie to jest bardzo skomplikowane i nieprzyjemne. Czy znaczy to, że można je w rozważaniach zlekceważyć i pominąć?

Ostatnie zagadnienie! — Zagadnienie etyki lekarskiej?—Niewątpliwie niezmiernie doniosłe i istotne. — Lecz i tu nie możemy zgodzić się na nadmierne uproszczenia, ani w odniesieniu do sposobu przedstawienia stanu teraźniejszego, że lekarz dzisiejszy, to w masie swej człowiek, stojący niejako poza etyką i poza poszanowaniem prawa, ani też w odniesieniu do środków zaradczych, które pragną rozwiązywać zagadnienie etyki lekarza w oderwaniu od realnych, niestety niezbyt pocieszających warunków naszego życia społecznego.

PASJA CZY ARGUMENTY

Kończymy. W uzupełnieniu pragniemy dodać jeszcze tylko kilka słów, wywołanych pewnymi zwrotami artykułu p. Piaseckiego, w którym, poczynając od tytułu, nie brakowało przejawów silnego zdenerwowania.

Nie będziemy tutaj zajmowali się tymi przejawami. Przyjmujemy jako okoliczność wyjaśniającą wspomniany w jednym miejscu fakt, że brak poszanowania dla apostolstwa p. Majdańskiego wprowadza p. Piaseckiego w „szewską pasję".

Nie ułatwia to dyskusji, przede wszystkim jednak nie przekonywuje. Trawestując powiedzenie jednego z współczesnych polskich dramatopisarzy, można to ująć w słowach: „szewska pasja to niekiedy okoliczność łagodząca — nigdy nie argument".

POLITYKA BAŁTYCKIEJ RÓWNOWAGI (1

Roman Piotrowicz

Bałtyckie dziedzictwo wojny i Wersalu

Otwierając obrady Ententy Bałtyckiej, min. Munters wyraził się, iż geografia polityczna Bałtyku była w ostatnich czasach przedmiotem wzmożonych międzynarodowych zainteresowań. Późniejsze wypadki, jak polskie odwiedziny w stolicach bałtyckich krajów oraz brytyjskie i francuskie podróże na Bałtyk, jeszcze bardziej tę opinię uzasadniły. Wzmożone te zainteresowania, uaktywniające politykę krajów nadbałtyckich i bałtyckie poczynania krajów z poza jego rejonu, są dostatecznie usprawiedliwione ogólnym w świecie przegrupowaniem sił międzynarodowych, potęgującym rywalizację wielkich mocarstw. Występujące przy tym tendencje do skoordynowania wysiłków, mających utrzymać stan pokoju w rejonie Bałtyku, niemniej wyraźnie zarysowują się i na Bałkanach, podobnie zagrożonych ożywieniem tej samej wielkomocarstwowej rywalizacji.

Jednym z głównych powodów, zmuszających Europę do poszukiwania nowych baz równowagi, jest niewątpliwie gwałtowny wzrost niemieckiej potęgi. Osiągnięcia Anschluss'u zmusiły i Zachód i Wschód do rozważenia nowego zrodzonego stąd stosunku sił. Zwiększenie niemieckiego dynamizmu wywołało wspomnienie wojny, której tak długie przetrwanie, jak to autorytatywnie stwierdza prof. Haushoffer [1]), zawdzięczały Niemcy niemożliwości rozszerzenia na Bałtyk brytyjskiego władztwa morskiego i wykonywanej przez W. Brytanię blokady. Nauka Zachodu jest niemniej kategoryczna w tych stwierdzeniach. Brunhes sądzi n. p., że pozostawanie Bałtyku poza zasięgiem sił Ententy o mało nie spowodowało jej klęski. Bałtyk bowiem stał się właśnie niepodzielną domeną Niemiec, mogącą im przysporzyć zwycięstwo.

Niemiecko-rosyjskie próby przedwojenne, usiłujące zamknąć wody Bałtyku przed flotami Zachodu, oraz samowładne na nim gospodarzenie floty Niemiec w czasie wojny, zmusiły Zachód do poszukiwań innych bardziej dlań korzystnych rozwiązań. Konferencja paryska, kształtująca nowy ustrój Europy, nie pominęła oczywiście możliwo-

---

[1]) Dass die Unmöglichkeit für England seine Seegewalt und Wirtschaftsblockade auf die Ostsee auszudehnen ein Hauptgrund für die geopolitische Möglichkeit unseres langen Widerstandes im Weltkrieg war.

ści zapobieżenia powtórzeniu się takiego stanu rzeczy. Brytyjsko - francuska zgodność poglądów w tej dziedzinie ułatwiała te zadania. Tak bowiem W. Brytanii jak i Francji jednakowo chodziło o morskie osłabienie Niemiec, jak również o stworzenie legalnych możliwości dla ich przyszłych w bałtyckim rejonie interwencji. Toteż statut Bałtyku w niejednym ze swych postanowień otwierał szerokie pole dla najrozmaitszych poczynań Zachodu, pomniejszając uprawnienia powstałych na nim państw oraz podporządkowując Lidze Narodów szereg związanych z nim instytucyj. Sprawne funkcjonowanie tego mechanizmu, mającego ustalić zachodnią, właściwie brytyjską, przewagę na Bałtyku, zależne było od zachowania ukształtowanego w Wersalu stosunku wielkomocarstwowych sił.

Morskie klauzule traktatu wersalskiego, redukujące siły floty niemieckiej do znikomego w porównaniu z flotą brytyjską stanu i zakazujące ponadto Rzeszy posiadania łodzi podwodnych, miały być najbardziej skutecznym instrumentem, umożliwiającym utrzymanie brytyjskiego władztwa na morzach. Ograniczenia te miały również uniemożliwić powtórne zamknięcie wylotów bałtyckich, jak to miało miejsce w czasie wojny, kiedy to niekwestionowana przewaga Niemiec zmusiła do tego Danię, słusznie obawiającą się możliwości naruszenia jej suwerennych na cieśninach uprawnień.

Zachodnio-europejskie zamiary unicestwienia morskiej potęgi Niemiec znalazły swój najbardziej wymowny wyraz w sprawie kanału Kilońskiego, będącego geograficzną ostoją siły Niemiec na obu sąsiadujących morzach. Gdyby bowiem nie sprzeciw Stanów Zjednoczonych umiędzynarodowionoby ten kanał, a pozbawiając Rzeszę możności jego kontrolowania, uniemożliwionoby niezależne od nikogo przerzucanie jej sił flotowych z jednego morza na drugie. Prawnie, jeżeli i nie faktycznie, obowiązujący dziś jeszcze statut kanału miał w części bodaj zadość czynić potrzebom morskiego bezpieczeństwa Zachodu. Postanowienia jego otwierają go bowiem dla powszechnego użytku i znoszą fortyfikacje, mogące zagrozić swobodnemu użytkowaniu połączeń morza Północnego z Bałtykiem.

Jeżeli te postanowienia miały pomniejszyć niemieckie szanse na morzach świata, w szczególności zaś na Bałtyku i na Morzu Północnym, szereg innych postanowień wersalskiego systemu zmierzał do tworzenia bałtyckich baz dla ewentualnych na nim poczynań flot Zachodu. W takich bowiem obliczeniach szukać należy, jak sądzimy, głównych, jeżeli i nie jedynych, przyczyn tak powikłanych i nikogo nie zadawalających rozwiązań szeregu spraw Bałtyku. Swoiste zmiany pierwotnego projektu załatwienia sprawy Gdańska, powzięte na skutek ultimatywnej interwencji W. Brytanii, mogą być najbardziej dowodną ilustracją rodzaju ożywiających wielkie mocarstwa tendencji politycznych. Neutralizacja i demilitaryzacja wysp Alandskich, jak też nie mniej pogmatwane rozstrzygnięcie sprawy Kłajpedy, należą również do serii w tym duchu załatwionych kwestii.

Tworząc w ten sposób legalne podstawy dla nieustannych skarg powodowanych istotnym czy rzekomym gwałceniem zagwarantowanych tymi postanowieniami praw, przygotowywano zarzewia coraz to nowych nieporozumień. Sądzono bowiem przypuszczalnie, że wypływające stąd nieustanne potrzeby rozjemstwa dla łagodzenia tych sporów będą stale powiększać bałtyckie kompetencje Zachodu. Geopolityczne warunki szeregu państw nadbałtyckich, oraz konieczności gospodarczego ich rozwoju, ze swej strony przyczyniały się do powiązania interesów Zachodu z Bałtykiem.

Niepodległościowe wysiłki szeregu małych państw Bałtyku początkowo nie były zbyt przychylnie traktowane przez Zachód. Obawiano się tam bowiem, że takie zredukowanie bałtyckiego stanu posiadania Rosji pozbawi Zachód możności przeciwstawiania na Bałtyku rosyjskich sił niemieckim zamierzeniom. W następstwie jednak pogodzono się łatwo z wytworzonym stanem, tym bardziej, że zdawano sobie sprawę, że groźne dla drobniejszych państw niemieckie i rosyjskie niebezpieczeństwo zmusi te państwa do poszukiwań właśnie z zachodu płynącej pomocy.

Wojenne oszołomienie Niemiec pozwoliło Sowietom w pierwszych latach powojennych na skuteczne podjęcie inicjatywy w bałtyckiej polityce. Spotęgowało to, oczywiście, i bez tego dostatecznie zaciętą we wszystkich międzynarodowych dziedzinach brytyjsko - sowiecką rywalizację. Refleksem tej walki o wpływy na kraje Bałtyku były słowa Cziczerina, mówiącego, że *„kraje bałtyckie winny zrozumieć, iż egzystują jedynie dzięki naszej lojalności oraz okazywanemu przez nas poszanowaniu traktatów i niepodległości każdego narodu, nie dzięki udzielanej im przez państwa Zachodu protekcji"*.

Gospodarcze konieczności grupy państw Bałtyku w wyższym jeszcze stopniu niż polityczne ich potrzeby zacieśniały więzy, łączące je z Zachodem. Długoletnie ekonomiczne bowiem zaniedbania przynajmniej niektórych z tych państw, szczupłość zasobów surowcowych i gospodarczych, dość jednostronnie, przeważnie rolniczo, kształtowały charakter ich gospodarstwa narodowego, co łatwo pozwalało na uczynienie z nich naturalnego niejako uzupełnienia metropolitalnego brytyjskiego gospodarstwa, wykazującego wciąż poważne niedobory produkcji rolniczej. Wciąż wzrastające cyfry towarowych obrotów siedmiu państw Bałtyku, więc Szwecji, Danii, Polski, Finlandii, Litwy, Łotwy i Estonii z W. Brytanią są najwymowniejszym dowodem tego faktu. W najbardziej bowiem chudym kryzysowym pięcioleciu, 1931/1935, obroty te sięgały przeciętnie znacznie ponad trzy miliardy złotych i stanowiły około 30% całości zagranicznej wymiany siedmiu tych państw. Prócz W. Brytanii zwiększa się w tym czasie udział bałtycki w wymianie gospodarczej również z innymi państwami Zachodu. Wymiana ze Stanami Zjednoczonymi, Belgią, Holandią i Francją obejmowała znowu około 20% zagranicznych obrotów tych państw. W ten sposób więc pięć tylko przemysłowych państw Zachodu wchłonęło około połowy zagranicznej wymiany omawianych siedmiu państw Bałtyku, których zachodnie związki gospodarcze znalazły wyraz również i w dalszym, sięgającym najrozmaitszych państw i kolonij, zasięgu ich gospodarczych stosunków z Zachodem.

Tendencje do poszukiwań rynków zbytu i uzupełnień na zachód od bałtyckich wylotów, wykazywane przez narodowe gospodarstwa wymienionych państw Bałtyku, znajdują swe potwierdzenia w zmniejszającym się udziale Niemiec w ich obrotach. Mimo to jednak udział niemiecki w omawianym okresie obejmował jeszcze około 20% wymiany tych państw. Nie mniej jednak zarówno polityczne konieczności jednych, jak gospodarcze potrzeby drugich, kierują uwagę wszystkich tych siedmiu państw na Zachód i uzależniają ich rozwój od możliwości swobodnego we wszelkich okolicznościach użytkowania bałtyckicb szlaków i wylotów.

Jeżeli wersalscy konstruktorzy europejskiego pokoju tworzyli statut Bałtyku w wyraźnym zamiarze spotęgowania wpływów Zachodu na jego wodach, polityczne warunki życia i gospodarcze konieczności rozwoju całego tego rejonu ze swej strony zacieśniały coraz bardziej więzy, łączące Bałtyk z Zachodem i światem. Wysiłki zmierzające do skonsolidowania polityki bałtyckiego rejonu nie mogą pominąć tego faktu. Toteż konieczność zabezpieczenia swobody dróg bałtyckich komunikacyj ze światem jest i w dalszym ciągu będzie jednym z najbardziej podstawowych czynników systematycznego rozwoju dotychczasowej politycznej i gospodarczej konsolidacji tych państw nadbałtyckich.

Remigiusz Bierzanek

Momenty narodowościowe w gospodarczej współpracy Polski z Zagranicą

2

III.

Od wieków a nawet od tysiącleci do rzędu wypróbowanych systemów ekspansji gospodarczej należy kolonizacja. A więc emigracja na stałe ze starego kraju na tereny przestronne i gospodarczo niedostatecznie wyzyskane przez ludność miejscową, na których nowy element, związany z macierzą węzłami krwi, narodowości, przyzwyczajeń i interesów stanowił doskonałą forpocztę w nawiązaniu i utrwaleniu węzłów gospodarczych. Im bardziej aktywną rolę odgrywała emigracyjna grupa mniejszościowa w gospodarstwie nowego kraju i im silniejsze i trwalsze kontakty utrzymywała z krajem macierzystym, tym mocniej zacieśniały się węzły gospodarcze między obu krajami. Obroty wymiany handlowej kształtowały się bodaj najkorzystniej wówczas, gdy kolonizacja nosiła charakter osiedli kupieckich, położonych na szlakach handlowych. Element kupiecki z łatwością nadawał kierunek obrotom handlowym kraju i utrzymywał łączność z krajem pochodzenia; wszelka kolonizacja wyłącznie rolnicza mogła tylko pośrednio wpływać na narastanie więzi gospodarczej między dawną a nową ojczyzną.

System osad handlowych, bez wątpienia najkorzystniejszy gospodarczo dla kraju emigracyjnego, stosowali w starożytności już Fenicjanie na 1000 lat przed Chrystusem i Grecy w okresie hellenistycznym i Rzymianie pod koniec republiki i za cesarstwa; w średniowieczu Wenecjanie i Genueńczycy. Również dzisiejsze imperia kolonialne stworzone zostały w drodze opanowywania handlowego i politycznego nowoodkrytych terenów.

I w dobie obecnej osiedla w krajach zamorskich, zwłaszcza osiedla handlowe, nie pozostają bez wpływu na kierunek handlu zagranicznego tych krajów. Obroty handlowe są jednym z łączników, wiążących emigrantów z dawną ojczyzną. I to nie tylko wówczas, gdy kraj osiedlenia pozostaje z macierzą w związku politycznym, stanowiąc część imperium kolonialnego.

Oczywiście związek państwowy, choćby nawet luźny, jak w koloniach o szerokiej autonomii, sprzyja rozwojowi obrotów handlowych z krajem macierzystym. Łączność prawno-państwowa jest czynnikiem, który znakomicie wzmaga opłacalność wymiany w drodze odpowiedniej polityki celnej i handlowej jak również ożywia węzły narodowościowe przez działalność kulturalną, szkolnictwo, stały dopływ świeżego elementu urzędniczego itd. Można powiedzieć, że wpływ łączności narodowościowej na handel zagraniczny tylko wówczas odbywa się w pełni bez przeszkód, gdy łączności narodowościowej odpowiada łączność państwowa. Niemniej jednak nawet wtedy, gdy brak wszelkiej łączności państwowej, zaznacza się wpływ momentów narodowościowych na rozwój obrotów handlu zagranicznego. Wyrażenie tego zjawiska w cyfrach jest niepodobieństwem, gdyż trudno rozstrzygać jakie transakcje i w jakim stopniu miały u podstaw motywy narodowościowe; a nawet gdyby można przedstawić nastawienie psychiczne wszystkich zainteresowanych transakcji, nie byłoby to wszystko. Pozostałyby nieuwzględnione liczne transakcje, przy których zawieraniu nikomu nie przychodziło do głowy, że postępuje zgodnie z zasadą solidarności narodowej. Decydowały poprostu tu tradycje handlowe, nawiązane już kontakty i nieznajomość innych nawet korzystniejszych kontrahentów.

Zjawisko wpływu łączności narodowościowej na rozwój obrotów handlu zagranicznego zaobserwować można również w jednej dziedzinie polskiego handlu zagranicznego, mianowicie w handlu z Palestyną. W handlu polskim, wewnętrznym i zewnętrznym, w wysokim odsetku bierze udział ludność żydowska. Analogiczny jest udział ludności żydowskiej w handlu palestyńskim, gdzie Żydzi stanowią 50% a w handlu zagranicznym nawet 60%. Mimo stosunkowo niezbyt wysokiego odsetka ludności żydowskiej w stosunku do ogółu ludności, wynoszącego w Polsce ponad 10%, a w Palestynie około 25%, istnieje właśnie między kupiectwem obu krajów szeroka platforma łączności narodowościowej.

Eksport polski do Palestyny stanowił w 1935 r. 10% eksportu pozaeuropejskiego, bo wyrażał się wartością 14 milionów zł. na 142 miliony. W eksporcie Palestyny w tym samym roku, poza Wielką Brytanią, która wyczerpuje ponad 60% eksportu Palestyny, Polska zajmowała czwarte miejsce po Syrii, Niemczech i Holandii; w imporcie figuruje Polska o jedno miejsce dalej, wyprzedzona przez Wielką Brytanię, Stany Zjednoczone, Syrię, Niemcy i Rumunię.

Te nieproporcjonalnie duże obroty polsko - palestyńskie na tle bardzo nikłych obrotów Polski z krajami zamorskimi nie znajdują wytłómaczenia w żadnych czynnikach ekonomicznych. Nie są usprawiedliwione ani wielkimi siłami produkcyjnymi Palestyny, ani specjalną strukturą gospodarczą, dopełniającą produkcję Polski, ani nawet szczególnie korzystną komunikacją. Te same a może nawet wyższe kwalifikacje gospodarcze posiadają inne kraje śródziemnomorskie, jak choćby sąsiadująca z Palestyną Syria, Egipt, Algier lub Marokko. Gdybyśmy nawet przyjęli, że na pomyślny rozwój handlu polsko - palestyńskiego wpłynęło szereg innych czynników jak niższe bariery celne Palestyny, transfer kapitałów z Polski na budowę siedziby żydowskiej, nie da się zaprzeczyć, że główną „causa efficiens" wysokich obrotów handlu polsko - palestyńskiego są węzły narodowościowe, łączące żydów polskich z palestyńskimi. Stwierdza to zresztą szereg niepodejrzanych o tendencję autorów. Nieduszyński pisze: „Sekretem bowiem powodzenia naszej ekspansji na tym rynku są w pierwszym rzędzie silne węzły sentymentu, łączące żyda emigranta z Polską. Jemu to zawdzięczać należy, iż mimo zalewu obcych towarów, niejednokrotnie w sposób przymusowy torujących sobie drogę do palestyńskiego konsumenta, ręka jego z upodobaniem sięga po produkt polski, który zna od dzieciństwa, który jest mu swojski, któremu gotów jest nawet wybaczyć różne niedomagania i braki!" [1]).

Podobną opinię wypowiada dyrektor Państw. Instytutu Eksportowego Turski, stwierdzając, że we współdziałaniu gospodarczym z Palestyną „nie tylko czysty, wykalkulowany interes tworzy pobudkę do realnej współpracy" i dodaje jeszcze, że „w miarę rozwoju naszych wzajemnych relacji handlowych moment ten wygrywa się coraz wyraźniej" [2]).

Już przy powoływaniu się na przykład handlu polsko - palestyńskiego, w którym momenty narodowościowe wysuwają się bodaj na pierwszy plan, zwróciliśmy uwagę, że platformą oddziaływania tych momentów były nie owe 10% Żydów w Polsce i 25% Żydów w Palestynie, ale związki kupiectwa narodowości żydowskiej w Polsce i większości kupiectwa palestyńskiego tej samej narodowości. Również inne przykłady wskazywały, że ekspansja handlowa odbywała się *nie tyle przez związek ogółu ludności, ile głównie przez spójnię narodowościową między kupiectwem starego i nowego kraju*. Zjawisko to, zachodzące już od wieków, jest całkowicie zrozumiałe, gdyż kupcy są oczywiście najczynniejszym elementem w handlu, w ich rękach spoczywa dyspozycja w tej dziedzinie gospodarstwa, oni mogą kierować go w tym czy innym kierunku. Nawet wówczas gdy kierunek ten określa państwo traktatami handlowymi, istnieje zawsze dość szeroka sfera swobodnej decyzji kupców w nawiązywaniu kontaktów handlowych. Jakkolwiek z drugiej strony niewątpliwie również konsumenci mogą wywierać nacisk na kupców, zmuszając ich do sprowadzania towarów określonego pochodzenia, zjawisko takie nie jest z pewnością zbyt częste i wymaga dużego uświadomienia szerokich warstw ludności. Konsument z natury rzeczy jest najbardziej biernym uczestnikiem procesów gospodarczych, mimo, że mają one głównie jego potrzeby na względzie. Jest on — jak nazywa konsumenta któryś z ekonomistów — „królem, który nie rządzi". I w dziedzinie handlu zagranicznego uznać trzeba, że konsumenci raczej wyjątkowo wywierać mogą poważniejszy wpływ na kierunek handlu. W wielu przypadkach nie będą oni w ogóle zdolni do sprawdzenia, czy towar jest pochodzenia, jakiego by sobie życzyli. Można zatem z pewnym błędem, lecz niezbyt wielkim, przyjąć, że handel zagraniczny jest nie tyle relacją między społeczeństwami zainteresowanymi w wymianie, ile między warstwami kupieckimi tych społeczeństw. Twierdzenie to w transpozycji do zagadnienia wpływów

---

[1]) *T. Nieduszyński* — Palestyna nasz czołowy rynek zamorski, „Palestyna i Bliski Wschód" r. 1936. Nr. 3.

[2]) *M. Turski* — „Naturalne związki gospodarcze". „Palestyna i Bliski Wschód" 1936 r. Nr 4.

momentów narodowościowych na kierunek handlu zagranicznego oznacza, że wpływ ten oddziaływuje w pełni, gdy istnieje więź narodowościowa między warstwami kupieckimi dwuch krajów. Łączność narodowościowa innych warstw posiada już o wiele mniejsze znaczenie.

Spróbujmy określić jak przedstawia się uwarstwowienie zawodowe konkretnie omawianych grup społecznych — społeczeństwa polskiego i polskich grup zagranicznych. Jest rzeczą powszechnie znaną, że w organiźmie gospodarczym Polski warstwa kupiecka wykazuje w swym składzie stosunkowo nikły odsetek elementu polskiego. Podobnie przemysł, który często sam organizuje eksport i penetruje na rynki zagraniczne należy do działów mniej polskich — z narodowościowego punktu widzenia — naszego gospodarstwa. Najbardziej polskie warstwy — to niewątpliwie rolnictwo i najszerzej pojęty element urzędniczy. Są to zarazem warstwy najbardziej oddalone od procesu wymiany handlowo - zagranicznej.

Jeszcze gorzej pod tym względem przedstawia się struktura polskich grup zagranicznych. Warstwy kupieckiej brak wśród Polonii zagranicznej niemal całkowicie. Jeżeli nawet jest — to są to prawie wyłącznie drobni kupcy. Podobnie brak warstwy przemysłowej jak również inteligencji. Polacy zagraniczni stanowią w olbrzymiej swej masie element rolniczy i robotniczy.

Stosunkowo najlepiej z punktu widzenia omawianego zagadnienia przedstawia się struktura Polonii w Stanach Zjednoczonych. Ale i tutaj, mimo, że 86% ludności polskiej zamieszkuje w miastach, zaledwie 1,6% czerpie środki utrzymania z handlu. Tak nieliczne kupiectwo polskie składa się niemal wyłącznie z drobnych detalistów. Stosunkowo niewiele jest większych przedsiębiorstw handlowych, a firm eksportowych zaledwie kilka. Sytuacja na terenie Polonii w innych krajach przedstawia się bez porównania gorzej. Tak na przykład we Francji, gdzie żyje ponad pół miliona Polaków, nie ma ani jednej firmy polskiej importowej.

Przy braku rozwiniętej warstwy kupieckiej odpowiednio do liczebności tak społeczeństwa wewnątrz kraju jak i Polonii zagranicznej widoki na rozwój współpracy gospodarczej nie mogą przedstawiać się pomyślnie. Społeczność polska w kraju nie jest związana z zagranicznymi grupami polskimi silnym liczebnie i jakościowo kupiectwem, które by potrafiło wykorzystywać wszystkie możliwe w danym okresie i na danym odcinku możliwości wymiany handlowej między Polską a krajami, w których Polacy tworzą poważniejsze skupienia. Poszczególne części narodu polskiego, rozdzielone barierami granicznymi, są obecnie z punktu widzenia możliwości wymiany handlowej płaszczyznami, rozległymi wprawdzie i szerokimi, ale przylegającymi do siebie tylko wąskimi krawędziami.

Powyższe stwierdzenie stanowić może punkt wyjścia do formułowania wytycznych programu w dziedzinie ściślejszego związania Polonii zagranicznej z macierzą również w dziedzinie gospodarczej. Jedną z naczelnych zasad postępowania w stosunku do ludności polskiej zamieszkałej poza granicami Państwa jest niewątpliwie utwierdzenie świadomości narodowej wśród Polonii zagranicznej w drodze tworzenia i utrzymywania więzów, łączących Polonię z macierzą. Obok szkolnictwa polskiego, obok polskich organizacyj społecznych, polskiego duszpasterstwa, elementem, utrzymującym Polaków zagranicznych w łączności z krajem ojczystym, winien być również towar polski. Jest to element o tyle cenniejszy, że jego skuteczność nie ogranicza się tylko do pewnych okresów, jak szkoła, i pewnych tylko fragmentów życia, jak uroczystości organizacyjne, ale wkracza w codzienne szare życie polskiego chłopa i robotnika na obczyźnie, przypominając mu o Polsce.

d. n.

Tezy programowe Rady Naczelnej O.Z.N. w sprawach wiejskich

(dokończenie).

V. TEZY W ZAKRESIE ORGANIZACJI ROLNICTWA.

1. Dzisiejsza organizacja rolnictwa wykazuje następujące główne wady:

1) pomieszanie kompetencji samorządu rolniczego z organizacjami dobrowolnymi, co nie tylko zaciera moment odpowiedzialności za wyniki pracy, ale i nie pozwala na swobodny i pełny rozwój tych obu form organizacji;

2) nadmierne rozproszkowanie organizacji rolniczych, które zachowały jeszcze w wielu wypadkach charakter dzielnicowy. Prowadzi to do marnotrawstwa energii społecznej i środków finansowych;

3) zbyt nikły odsetek rolników zrzeszonych w organizacjach rolniczych, co uniemożliwia wszelkie szersze oddziaływanie na podniesienie rolnictwa;

4) wprowadzenie momentów partyjnych do całego szeregu organizacji rolniczych, co w wysokim stopniu utrudnia pracę społeczno - gospodarczą na wsi.

2. Dotkliwe braki w obecnej organizacji rolnictwa oraz konieczność jego intensywnego i planowego rozwoju ze względu na potrzeby społeczne, gospodarcze i obronne Polski, wymagają jak najrychlejszego wprowadzenia racjonalnej organizacji rolnictwa.

3. Racjonalna organizacja rolnictwa powinna się opierać:

1) na samorządzie rolniczym i

2) na dobrowolnych organizacjach rolniczych.

4. Samorząd rolniczy obejmuje osoby należące do zawodu rolniczego. Kwalifikacje tych osób będą osobno określone.

5. Samorząd rolniczy obejmuje:

1) na szczeblu centrali — Związek Izb Rolniczych;

2) na szczeblu województwa — Wojew. Izbę Rol.;

3) na szczeblu powiatu — Powiatową Izbę Roln.;

4) na szczeblu gminy — Gminną Radę Rolniczą.

6. Samorząd rolniczy ma za zadanie:

1) przygotowywać dla gospodarstwa wiejskiego warunki wszechstronnego rozwoju, zharmonizowanego z ogólnym planem gospodarczym Państwa;

2) wykonywać czynności poruczone mu przez władze państwowe;

3) opiniować ustawy, rozporządzenia i zasadnicze posunięcia władz państwowych w zakresie polityki rolnej;

4) współdziałać z władzami państwowymi, samorządowymi i wojskowymi w zaspakajaniu potrzeb ogólnopaństwowych i obronnych, związanych z wytwórczością rolniczą;

5) współdziałać z dobrowolnymi organizacjami rolniczymi nad podnoszeniem kultury rolniczej i nad rozwojem organizacji handlowej rolnictwa;

6) zbierać i opracowywać wszelkie materiały i dane, tyczące się stosunków rolniczych;

7) reprezentować i bronić interesów rolnictwa;

7. Przygotowanie dla gospodarstwa wiejskiego warunków wszechstronnego rozwoju zharmonizowanego z ogólnym planem gospodarczym Państwa wymaga przede wszystkim:

1) opracowywania i wykonywania okresowych planów wytwórczości, przetwórczości i obrotu w zakresie gospodarstwa wiejskiego;

2) podnoszenia kultury rolniczej oraz szkolenia i doszkalania fachowców w zakresie wytwórczości, przetwórczości i obrotu artykułami rolniczymi;

3) podnoszenie jakości wytworów gospodarstwa wiejskiego;

4) zorganizowanie ochrony przed szkodnikami wytwórczości roślinnej i zwierzęcej.

8. W zakresie planowania działalności gospodarstwa wiejskiego:

1) Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych:

a) ustala ogólne kierunki rozwoju wytwórczości, przetwórczości i obrotu w zakresie gospodarstwa wiejskiego;

b) zatwierdza ogólne plany opracowane przez Związek Izb Rolniczych oraz szczegółowe plany, opracowane przez Wojewódzkie Izby Rolnicze, a przedstawione przez Związek Izb Rolniczych.

2) Związek Izb Rolniczych opracowuje na podstawie wytycznych Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych ogólne plany rozwoju wytwórczości, przetwórczości i obrotu w zakresie gospodarstwa wiejskiego.

3) Wojewódzkie Izby Rolnicze:

a) na podstawie szczegółowych wskazówek Związku Izb Rolniczych opracowują dla swoich okręgów szczegółowe plany rozwoju wytwórczości, przetwórczości i obrotu w zakresie gospodarstwa wiejskiego;

b) zapewniają na terenie swoich okręgów warunki wykonania dla powyższych planów, przede wszystkim przez wykorzystanie swoich podległych organów oraz współpracę dobrowolnych organizacji rolniczych;

c) czuwają nad możliwie dokładnym wykonaniem powyższych szczegółowych planów, przede wszystkim przez koordynację działalności zainteresowanych organizacji.

4) Podobne są zadania Powiatowych Izb Rolniczych.

5) Gminne Rady Rolnicze:

a) na podstawie szczegółowych wskazówek Powiatowej Izby Rolniczej, opracowują dla swojej gminy szczegółowe plany wytwórczości, przetwórczości i obrotu w zakresie gospodarstwa wiejskiego;

b) zapewniają na terenie swoich gmin warunki wykonania dla powyższych planów, przede wszystkim przez wykorzystanie współpracy gromad i dobrowolnych organizacji rolniczych;

c) czuwają nad możliwie dokładnym wykonaniem powyższych planów, przede wszystkim przez koordynację działalności zainteresowanych organizacji i gospodarstw rolnych.

9. W zakresie kultury rolniczej i fachowców rolniczych, samorząd rolniczy:
1) prowadzi własne placówki doświadczalne;
2) prowadzi biura rachunkowości rolnej;
3) urządza wystawy i pokazy rolnicze;
4) organizuje i roztacza opiekę nad gospodarstwami przykłodowymi;
5) przygotowuje do zawodu rolniczego we własnych szkołach rolniczych (niższych i średnich);
6) przygotowuje przy pomocy Instytutu Agronomii Społecznej — instruktorów rolniczych;
7) sprawuje nadzór nad przysposobieniem rolniczym;
8) dąży do racjonalnego wykorzystania fachowców rolniczych;
9) prowadzi ewidencję wychowanków szkół rolniczych, inżynierów - rolników i techników rolnych.

10. W zakresie jakości wytworów gospodarstwa wiejskiego, samorząd rolniczy:
1) opracowuje normy standaryzacji artykułów rolniczych (przerobionych lub nieprzerobionych);
2) prowadzi stacje oceny artykułów standaryzowanych;
3) wydaje świadectwa kwalifikacyjne dla celów eksportowych.

11. W zakresie ochrony przed szkodnikami wytwórczości roślinnej i zwierzęcej, samorząd rolniczy:
1) prowadzi stację ochrony roślin;
2) prowadzi w terenie walkę z chorobami i szkodnikami roślinnymi przy pomocy samorządu terytorialnego;
3) prowadzi akcję zapobiegawczą w zakresie chorób zwierzęcych.

12. Celem zorganizowania i usprawnienia wytwórczości szczególnie ważnych artykułów gospodarstwa wiejskiego, tworzy się w obrębie samorządu rolniczego powszechnego, autonomiczne związki wytwórców wspomnianych artykułów. Te związki tworzą, zależnie od potrzeby, swe oddziały w województwach, powiatach, gminach i wsiach.

O potrzebie tworzenia tych związków w obrębie samorządu rolniczego rozstrzyga każdorazowo Minister Rolnictwa i Reform Rolnych po wysłuchaniu Związku Izb Rolniczych.

13. Celem planowego szkolenia instruktorów rolnych, tworzy się przy Związku Izb Rolniczych — Instytut Agronomii Społecznej.

14. Organizacje dobrowolne mają za zadanie:
1) rozwijać dobrowolną pracę społeczną na wsi w zakresie kultury wsi;
2) organizować i usprawniać wymianę wytworów rolnych, głównie w oparciu o zrzeszenia spółdzielcze;
3) organizować i usprawniać poszczególne działy wytwórczości i przetwórczości rolnej, z wyjątkiem tych działów, które zostały objęte przez samorząd rolniczy, zgodnie z tezą 12;
4) reprezentować i bronić interesów członków w zakresie swej podstawowej działalności.

15. Wszystkie polskie dobrowolne zrzeszenia i stowarzyszenia rolnicze, młodzieżowe i kobiece, działające na terenie wsi, powinny skupiać się w jednolitej organizacji, która będzie nosiła nazwę: Polskie Towarzystwo Rolnicze.

Powyższe zrzeszenia i stowarzyszenia działają autonomicznie w ogólnych ramach Polskiego Towarzystwa Rolniczego i tworzą zależnie od potrzeby swe własne oddziały w województwach, powiatach, gminach i wsiach.

16. Polskie Towarzystwo Rolnicze tworzy jako swe oddziały:
1) w województwie — Wojewódzkie Towarzystwo Rolnicze;
2) w powiecie — Powiatowe Towarzystwo Rolnicze;
3) w gromadzie — Kółko Rolnicze.

17. Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych czuwa nad koordynacją działalności samorządu rolniczego i dobrowolnych organizacji rolniczych.

18. Celem koordynacji prac badawczo - doświadczalnych w zakresie rolnictwa, powołuje się osobną instytucję naukowo-rolniczą.

19. Przy Ministerstwie Rolnictwa i Reform Rolnych powołuje się Państwową Radę Rolniczą, złożoną z przedstawicieli samorządu rolniczego, spółdzielczości rolniczej, towarzystw rolniczych, akademickich uczelni rolniczych i naukowych instytucji rolniczych.

Państwowa Rada Rolnicza opiniuje zasadnicze zagadnienia i posunięcia w dziedzinie państwowej polityki rolnej oraz w zakresie opracowania i wykonania planów gospodarczych, tyczących się gospodarstwa wiejskiego.

20. Spółdzielnie rolnicze powinny stanowić aparat przemysłowy, handlowy i kredytowy dobrowolnie zorganizowanych rolników. Spółdzielnie rolnicze należą do Związku Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo - Gospodarczych, który prowadzi całą akcję gospodarczą w ścisłym porozumieniu z Polskim Towarzystwem Rolniczym i Związkiem Izb Rolniczych.

Działalność Związku Spółdzielni Spożywczych „Społem" na wsi powinna być uzgodniona z działalnością Związku Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo-Gospodarczych.

21. Gromady Wiejskie prowadzą prace rolnicze według szczegółowych wskazówek Gminnej Rady Rolniczej.

22. Samorząd rolniczy opiera się na własnych środkach finansowych, płynących z części podatku gruntowego i specjalnych opłat.

23. Celem wprowadzenia w życie racjonalnej organizacji rolnictwa, należy:
1) opracować projekt nowelizacji ustawy o samorządzie rolniczym;
2) wyodrębnić Izby Rolnicze z obecnego Związku Izb i Organizacyj Rolniczych;
3) utworzyć przy powyższym Związku Instytut Agronomii Społecznej, celem szkolenia instruktorów dla nowej organizacji;
4) przeprowadzić konsolidację wszystkich polskich organizacyj dobrowolnych w Polskim Towarzystwie Rolniczym;
5) uzgodnić działalność Związku Spółdzielni „Społem" na wsi z działalnością Związku Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo-Gospodarczych.

24. Nowa organizacja rolnictwa powinna być stopniowo wprowadzana w życie, w miarę przygotowania niezbędnych warunków realizacji.

POLACY NA SZLAKACH ŚWIATA

Inż. St. Zieliński

Stulecie pokoju w kraju pojednania

Kanada, Ottawa Ont., w sierpniu roku 1938.

Zdawałoby się, że trudno o bardziej banalną wzmiankę prasową, niż komunikat podany przez prasę codzienną, że „dn. 1 lipca r. b. w Prescott (Kanada) odbyła się uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku czci Polaków — uczestników powstania 1831 roku — poległych w walce o wolność Kanady".

Wystarczy jednak dodać kilka zaledwie dalszych szczegółów, żeby stworzyć na tle tej wzmianki historię niepomiernie i naprawdę wzruszającą.

Kanada w roku 1836. Kraj, który dopiero tworzy się, który ma niecały milion ludności, granice ustalone tylko na południu i wschodzie i który powiększają ciągle ekspedycje Franklina na północ i Frasera na zachód. Politycznie Kanada jest kolonią angielską, dzieli się na Górną i Dolną Kanadę, z których każda ma osobnego gubernatora. Stolicą Górnej Kanady jest York (obecnie Toronto).

Polityka kolonialna Anglii natrafia w Kanadzie na poważne trudności. Metody rządzenia koloniami o przewadze elementu tubylczego nie nadają się w kraju, gdzie cała ludność kolonii jest biała. Poza tym ze Stanów Zjednoczonych po niedawnej zwycięzkiej wojnie z Anglią szerzy się ruch wolnościowy. W Dolnej Kanadzie wybucha powstanie pod wodzą Papineau. Powstanie to kończy się zawieszeniem konstytucji i stworzeniem specjalnej Rady w początkach roku 1838. W Górnej Kanadzie wodzem ruchu wolnościowego jest William Lyon Mackenzie. O ile ruch ten nie zdobył nigdy wielkiej popularności wśród farmerów Górnej Kanady, o tyle pozyskał wielu zwolenników na północy Stanów Zjednoczonych. Niemal w każdym miasteczku wzdłuż górnego brzegu rzeki św. Wawrzyńca powstają tajne „Loże Strzeleckie" *(Hunters' Lodges)*. Celem organizacji jest „oswobodzenie Kanady spod tyranii brytyjskiej". Do Huntersów należało wielu młodych entuzjastów idei wolnościowej ze Stanów i Kanady, nie brak było jednak i pospolitych awanturników i to nawet w sferach kierowniczych, jak np. słynny Bill Johnston, znany z zatopienia parowca „Sir Robert Peel" pod Brockville. Należało też do tego ruchu wielu farmerów, mających nadzieje na zdobycie lepszych farm w Kanadzie w razie zwycięztwa powstania. Wszyscy członkowie Lóż związani byli przysięgą o następującej treści: „Poświęcam swoje życie, mienie i honor dla Stowarzyszenia. Podporządkowuję się jego interesom i przyrzekam, że aż do śmierci będę zwalczał, napadał i dopomagał do zniszczenia wszelkimi środkami, jakie moi przełożeni uznają za wskazane, wszelkiej władzy królewskiej na tym kontynencie, w szczególności, że nigdy nie spocznę, dopóki brytyjscy tyrani będą mieli władzę i oparcie w jakiejkolwiek części Ameryki Północnej".

Największymi siłami rozporządzali Hunters'i w hrabstwie Onondaga stanu New - York. Otóż w tym okresie w rafineriach soli w Onondaga pracował jako

inżynier Polak: Mikołaj Gustaw Szulc, uczestnik powstania Listopadowego i tutaj prawdopodobnie zetknął się po raz pierwszy z organizacją Hunters'ów.

Rodzina Szulca pochodzi ze Szwecji jest jednak od dawna osiadła w Krakowie. Ojciec Gustawa pracuje również jako inżynier w kopalniach soli. Mikołaj Gustaw urodził się w Krakowie w 1807 roku. Odebrał bardzo staranne wychowanie, zaznajomił się w domu z górnictwem, na wyższe studia literatury i sztuki wyjeżdżał do Wiednia i Italii. W chwili wybuchu powstania Listopadowego wstępuje wraz z bratem do wojska polskiego i walczy pod komendą ojca, który posiada wówczas stopień majora. Zarówno ojciec, jak i brat giną na polu walki pod Warszawą, Mikołaj Gustaw zostaje zaś mianowany majorem na miejsce ojca. Po upadku powstania przekrada się do Austrii. Jego matka i siostra zmuszone są także do ucieczki jednak zostają schwytane na granicy i zesłane na Sybir. W ten sposób młody Szulc w czasie Powstania traci całą rodzinę. Przez kilka lat jeszcze przebywa w różnych krajach Europy, potem wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych. Zatrzymuje się początkowo w Filadelfii, po tym udaje się do Salina (obecne Syracuse), gdzie pracuje w przemyśle solnym i w ciągu kilku lat zdobywa sobie stanowisko i majątek.

Pobudki, jakie skłoniły Mikołaja Gustawa do wzięcia udziału w walce o wolność Kanady, nie przedstawiają żadnych wątpliwości. Wychowany w atmosferze walki o wolność, stracił w tej walce wszystkich najbliższych i każdą sprawę wolnościową musiał uważać za swoją własną. Stosunki w Kanadzie, oglądane pod kątem widzenia obywatela wolnej Ameryki, musiały mu nasuwać analogie ze stosunkami, panującymi w Polsce. Wierzył więc w słuszność sprawy i wiarą tą umiał natchnąć innych Polaków, jak Berenda, Okońskiego i innych. Nie bez znaczenia była też zapewne znajomość z wodzem ruchu L. Mackenziem. Po wstąpieniu do Hunters'ów otrzymał tytuł pułkownika i bardzo odpowiedzialne stanowisko w planowanej ekspedycji na Prescott.

Prescott jest to niewielkie (obecnie 3 tysiące mieszk.) miasteczko, leżące nad rzeką św. Wawrzyńca, nawprost miasta amerykańskiego Ogdensburg. Posiadało ono jednak już sto lat temu mały port handlowy i fort wojskowy. Powstańcy planowali napad na Prescott od strony rzeki. W tym celu w nocy, w niedzielę, dnia 11 listopada 1838 roku, obsadzono ludźmi trzy statki rzeczne: szkunery „Charlotte of Toronto" i „Charlotte of Oswego" oraz parowiec „United States". Tym ostatnim dowodził kierownik całej wyprawy gen. John W. Birge. Dowódcą „Charlotte of Toronto" był płk. Szulc, a „Charlotte of Oswego"—wspomniany już Bill Johnston. W sumie powstańcy rozporządzali siłą ok. 500 ludzi.

Trudno jest odtworzyć początek akcji. Jedno nie ulega wątpliwości, że na statkach Birge'a i Johnstone'a zaszły jakieś nieznane wypadki, które przesądziły odrazu losy walki na niekorzyść powstańców. Podobno Birge „zachorował". W każdym razie „United States" zawrócił do Ogdensburga, nie probując nawet walki. „Charlotte of Oswego" wycofał się nieco później według jednej wersji wskutek niemożności wylądowania w Prescott, według innej wskutek tego, że Johnston nie chciał się zgodzić na plan Szulca zaatakowania fortu równocześnie z dwuch stron. W każdym razie płk. Szulc wylądował ze 180-iu ludźmi o dwie mile poniżej Prescott w miejscowości Windmill Point. Stał tam nad samą rzeką kamienny wiatrak, a nieco dalej kilka domów. Powstańcy obsadzili zaraz wiatrak i domy, oczekując na dalszy rozwój wypadków.

Tymczasem „United States" prawdopodobnie pod inną komendą wypłynął z Ogdensburgu i kierował się w stronę Prescott. Było już jednak zapóźno. Z góry rzeki nadpłynęła niewielka kanonierka rzeczna angielska „Experiment" i zmusiła parowiec do odwrotu. „United States" probował jeszcze trzy razy przedostać się w kierunku Windmill Point, jednak bezskutecznie. Nie pomógł nawet powrót do akcji „Charlotte of Oswego" i przyłączenie się uzbrojonego parowca handlowego „Paul Pry", ktore chciały zaatakować Prescott, w czasie kiedy „Experiment" był zajęty niedopuszczeniem „United States" do Windmill. Kanonierka zdążyła ostatecznie odeprzeć wszystkie trzy statki, a kiedy w poniedziałek rano przybyły jej na pomoc kanonierki „Queen Victoria" i „Cobourg" z Gananoque, los zamkniętych w Windmill powstańców został przesądzony. Równocześnie zaczęły nadchodzić do Prescott posiłki drogą lądową. Jednak w poniedziałek ne przypuszczono jeszcze ataku do Windmill. Pozycja powstańców była bardzo silna, mury wiatraku o grubości jednego metra chroniły nawet przed artylerią, a wysokość wieży wiatraka pozwalała na dokładne obserwowanie ruchów nieprzyjaciela i bardzo skuteczny obstrzał.

Atak rozpoczął się we wtorek i trwał do późnego popołudnia. Anglicy rozporządzali około 500 ludźmi regularnego wojska i milicji zorganizowanej z okolicznych farmerów. Równocześnie kanonierki ostrzeliwały wiatrak od strony rzeki. Jedynym rezultatem ataku było wyparcie powstańców z dalej położonych domów, poniesiono jednak przytem tak poważne straty, że ten pierwszy dzień skończył się raczej porażką Anglików. Stracili oni dwuch oficerów i 13 szeregowców, a ilość ciężko rannych doszła do siedemdziesięciu.

W środę rano przyszły dalsze posiłki, jednak zdecydowano czekać jeszcze na ciężką artylerię. Ciężkie 24-ro funtowe działa sprowadzono dopiero w piątek w południe. Wyładowanie ich ze statku i ustawienie zajęło czas do wieczora. Kanonierki ostrzeliwały tymczasem wieżę, nie robiąc jednak wielkiej szkody oblężonym. Właściwy atak zaczął się zburzeniem i spaleniem domów otaczających wiatrak, poczem wszystkie siły angielskie skierowały się pod wiatrak. Nie doszło już do walki wręcz, bo Szulc, widząc że pomoc ze Stanów nie nadejdzie i że dalszy przelew krwi jest bezcelowy, kazał wywiesić białą flagę. Niezbyt karna milicja nie przerwała mimo to ognia i strzelanina trwała jeszcze parę minut. Nie czekając na jej koniec Szulc otworzył drzwi wieży i bez broni wyszedł spokojnie wprost na kule milicji. Nie został ranny wprost cudem i zgłosił gotowość poddania się wraz ze 110 ludźmi, którzy jeszcze pozostali przy życiu.

Nie wiemy, kiedy Szulc rozczarował się do sprawy Hunters'ów. Prawdopodobnie jednak zmiana jego poglądów na sprawy kanadyjskie dokonała się właśnie w czasie wyprawy na Prescott. Poznał wtedy lepiej uczestników ruchu, którzy go opuścili wtedy, kiedy jeszcze nie było śladu niebezpieczeństwa, a w ciągu pięciu dni oblężenia nie postarali się o żadną pomoc. Nie bez wrażenia również musiał pozostać fakt, że walczyli przeciwko niemu nie tylko regularni żołnierze, ale ci właśnie farmerzy, których miał uwalniać od angielskiej tyranii. W każdym razie w czasie procesu, który miał rozstrzygnąć o losach uczestników walki pod Windmill, Szulc nie krył się ze swoim rozczarowaniem do powstania i jasnym się stało, że tylko honor żołnierski nie pozwolił mu na wcześniejsze opuszczenie sprawy. Obrona Szulca chciała moment ten wykorzystać, on sam jednak nie zgodził się na to i przyjął całą winę na siebie, ratując w ten sposób swoich towarzyszy. Skazano go na karę śmierci przez powieszenie, chcąc jednak wyróżnić go wśród innych skazanych — nie stracono go w więzieniu, lecz w forcie wojskowym Fort Henry pod Kingston. W czasie procesu Szulc zdobył sobie ogólną sympatię i nawet władze, które wydały wyrok śmierci, traktowały to jako smutną konieczność wobec naprężonej sytuacji w kraju. Szulc został stracony rano dnia 8 grudnia 1838 roku. W testamencie zapisał znaczną część swego majątku na wdowy i sieroty po zabitych pod Windmill milicjantach.

W roku bieżącym Kanada święciła uroczyście stulecie pokoju ze Stanami Zjednoczonymi. Najważniejsza część obchodu odbyła się w samym Prescott i w Windmill Point. Jednym z najważniejszych punktów programu było odsłonięcie tablicy pamiątkowej ku czci ś. p. Szulca i towarzyszy. Otóż jakkolwiek Mikołaj Gustaw Szulc bił się w swoim przeświadczeniu za wolność Kanady — jednak występował przeciw władzom kanadyjskim i musiał być przez te władze uważany za wroga. A po stu latach te same władze nie tylko pozwalają na uroczysty obchód ku jego czci, ale same biorą w tym obchodzie jak najżywszy udział i nie wyrażają się inaczej o Szulcu, jak: „polski bohater". I proszę nie przypuszczać, że się wstydliwie przemilcza ten fakt, że Szulc walczył przeciwko Kanadzie. Przeciwnie, fakt ten jest stale podkreślany: premier Mackenzie-King, ktory nota bene przyjechał do Windmill specjalnie na polskie uroczystości, wyraża najżywsze zadowolenie, że uczczono tak jednego z najważniejszych uczestników walk z 1838 roku i mówi, że jego marzeniem jest, żeby w Kanadzie powstał jeden pomnik dla walczących po obu stronach, bo wszyscy walczyli przecież z wiarą w słuszność swojej sprawy. Mackenzie-King nazwał Kanadę krajem pojednania i czuje się, że to jest o wiele więcej, niż pusty frazes.

Sam zresztą premier obecnego rządu federalnego jest równocześnie potomkiem L. W. Mackenzie wodza ruchu powstańczego, który w czasie walk pod Prescott przebywał w New Yorku — oraz Johna Kinga, który znów był dowódcą fortu Wellington Prescott i kierował ogniem artyleryjskim na Windmill w przeświadczeniu, że w wiatraku znajduje się sam Mackenzie. Pierwszy Minister Kanady jest równie dumny z obu swoich pradziadków.

Na marginesie

LUDZIE I PRAWA DŻUNGLI

(b. s.) „Merkuriusz Polski", pismo o ustalonej bodajże we wszystkich obozach politycznych opinii — wypowiedział w ostatnim numerze — zapewne przypadkowo — prawdę zupełnie zasadniczego dla naszych dzisiejszych warunków znaczenia:

...„DO TEGO JUŻ DOSZŁO, ŻE IGNOROWANIE NAJCIĘŻSZYCH OSKARŻEŃ PUBLICZNYCH NIE TYLKO NIKOMU OPINII NIE PSUJE, ALE ZNAKOMICIE JĄ POPRAWIA".

Przed kilku miesiącami, pisząc na powyższy temat, stwierdzaliśmy, że nasze życie publiczne jest na drodze do tego rodzaju stanu, że musi on być naturalnym wynikiem tolerowania przez pewien, na szczęście niezbyt liczny, typ naszej prasy metody kłamstwa, obłudy, insynuacji, jako normalnej metody walki prasowej.

Stan tego rodzaju, przy którym najlepszą i wystarczającą odpowiedzią na pewien system ataków i oskarżeń staje się pogardliwe milczenie — jest niewątpliwie stanem wysoce niezdrowym. Świadczy o daleko idącym zatraceniu przez społeczeństwo wiary w szczerość pobudek i rzetelność wystąpień prasowych. Stan taki jest naturalnym i nieuniknionym następstwem istnienia pewnych warunków, o których we wspomnianym już artykule z dnia 10 kwietnia r. b. pisaliśmy, iż cechą ich jest łatwość, z którą „każdy dziennikarz, każdy warchoł cierpiący na kompleks herostratesowy", lub zgoła chcący zarobić, może dać folgę swym intencjom przez fakt, że „przyczepi się jako pasożyt do człowieka, wypełniającego mniejszą czy większą służbę publiczną i będzie żywił się dobrym imieniem i dobrą sławą tamtego".

Lekkomyślność oskarżeń, nieposzanowanie czci ludzkiej, walka prasowa nieprzebierająca w środkach i nie licząca się z rzeczywistością — to nie są tylko elementy krzywdy takiego, czy innego człowieka, to są również elementy wielkiej krzywdy społecznej, wyrządzanej przez obalanie podstaw, na których może i musi opierać się zdrowa opinia publiczna. Rezultatem tego rodzaju metod jest wytworzenie stanu, przy którym „ignorowanie" pewnego typu oskarżeń jest często najsłuszniejszą i najwłaściwszą metodą.

Przykładów nie trzeba szukać długo ni daleko. W tym samym numerze „Merkuriusza", w bezpośrednim następstwie cytowanego wyżej zdania, spotykamy niezmiernie charakterystyczną napaść na jednego z adwokatów śląskich.

Istotą tej napaści jest, że nie zawiera w sobie żadnego faktu, który mógłby być traktowany jako zarzut realny. Wszystko sprowadza się do aluzji, insynuacji, domyślników.

Przedmiotem głównym rozważań autora artykułu, p. J. B., jest dokonana niedawno na Śląsku tranzakcja wykupu z rąk niemieckich większości portfelu akcji wielkiego obiektu przemysłowego, o dużym znaczeniu społecznym, gospodarczym i nawet państwowym, to jest Śląskich Zakładów Elektrycznych. Autor artykułu stwierdza, że nie ma żadnych materiałów dla oceny strony finansowej tranzakcji, gdyż przedmiotem wykupu są „zakłady milionowej wartości, a ocena milionowego obiektu nastręcza tyle trudności, że opierać się tu można tylko na opinii osób trzecich". Otóż zapytywane przez Autora osoby trzecie odmówiły mu odpowiedzi, nie podjęły się oceny tego obiektu: „Być może, iż wart jest dwanaście milionów. Być może, że dwadzieścia cztery. Trzeba by długo, na miejscu, wszystko oglądać, wertować księgi, rachunki".

Jak z tego widać, „osoby trzecie" zachowały dużą wstrzemięźliwość dyskutowania o sprawie, której nie znają. Nie zachowuje jej Autor artykułu. Jemu nie potrzeba materiału faktycznego. Wystarczy mu postawić dwie hipotezy: Zakłady m o g ł y b y ć wykupione z rąk niemieckich za tanio, m o g ł y również być wykupione za drogo. W pierwszym wypadku byłby to dobry interes kupiecki, lecz przyzwoity człowiek takich interesów nie robi, bo nie kupuje się „na ulicy złotego Watermana za pięćdziesiąt groszy", w drugim wypadku jakież mogłyby być powody, dla których dano by zrobić dobry interes obcym.

Autor nie może się zdecydować na wybór jednego czy drugiego oskarżenia. Zresztą, jest mu to nie potrzebne. Wystarcza mu, że na marginesie tego rodzaju rozważań rozsnuje pajęczą nitkę insynuacji, domyślników, westchnień do „naprawdę czystego powietrza", porównań na temat nabywanego na ulicy Watermana za pięćdziesiąt groszy itp.

Z punktu widzenia odpowiedzialności karno-kryminalnej, jak również z punktu widzenia starej zasady „Calomniez, calomniez, il y en restera toujours quelque chose" — metoda tego rodzaju może być szczególnie celowa. Z punktu widzenia odpowiedzialności moralnej i szkodliwości społecznej jest to coś stojącego poza normalną możnością kwalifikacji.

Cele tej akcji? — Nie chcemy wnikać w ich istotę? — Wydaje nam się jednak, że w podobnych wypadkach istotnie słuszna jest tylko jedna metoda, ta właśnie wspomniana w cytowanym na wstępie zdaniu: zachowania odpowiedniego dystansu.

Droga sądowa? — Przed paru miesiącami jeden z sędziów, wydając w sprawie prasowej niezmiernie ostre w stosunkach polskich orzeczenie, użył w motywach określenia, że „Polska nie jest dżunglą, a ludzie zwierzętami, na które możnaby było polować bezkarnie!" Niestety, orzeczenie to nie zupełnie odpowiada rzeczywistości. Istnieją specjaliści od stosowania specjalnych metod wyrafinowanego nadużywania słowa dla nagonki na to, co jest największą wartością zarówno jednostek, jak i społeczeństw: cześć ludzką i dobre imię. Wymiar sprawiedliwości za tego rodzaju metodami nie nadąża i nie stanowi skutecznej przeciwko nim osłony.

Polemiki i sprostowania? — O to właśnie chodzi! — Prostować można tylko fakty, nie można prostować insynuacji i domyślników. Zresztą, w tym wypadku w całej rozciągłości występuje zjawisko, o którym pisaliśmy w cytowanym już dwukrotnie artykule, iż: „człowiek, który może mieć czas nieograniczony, bo głównym przedmiotem jego zainteresowań jest walka z dobrym imieniem innych, który równocześnie niezbyt ceni własne dobre imię, potrafi wyzyskać całą przewagę zawodowca na zmęczenie tych, dla których walka o własne dobre imię jest tylko częścią niesionej stale odpowiedzialności".

Poczucie dystansu? — Tak! — I tutaj powołamy się na poprzedni numer „Merkuriusza", w którym znajdował się obszerny artykuł, opisujący tragiczne przeżycia płk. Karola Lindbergha w Stanach Zjednoczonych i nie bez poważnej racji doszukujący się podstawowego błędu znakomitego lotnika w następującym fakcie:

„Lindbergha... obsiadły roje wydrwigroszów wszelkiego kalibru i maści. Wciskano się do jego domu, zakłócano mu życie prywatne, napastowano go w biurze i na ulicy.

I tu zaczyna się dramat człowieka, który miał dosyć odwagi, by samotnie lecieć nad oceanem, ale nie był dość śmiały, by natrętów wyrzucić za drzwi".

W zdaniu tym ukryta jest istotnie głęboka prawda. Ma ona odpowiadać jakoby istocie stosunków amerykańskich. Niestety, w dużej mierze staje się ona prawdą również i w naszych obecnych stosunkach. Tam bowiem, gdzie w zakresie spraw czci ludzkiej i honoru zaczynają panować prawa i obyczaje dżungli, tam musi utrwalić się i zwyciężać zasada jedynie racjonalnej samoobrony: trzymania pewnej kategorii ludzi daleko za drzwiami, daleko poza zaszczytem udzielania im wyjaśnień i odpowiedzi.

*

Na zakończenie możemy powtórzyć znowu to, co pisaliśmy już przed kilku miesiącami. W zakresie naszych stosunków publicznych mamy do wyboru dwie drogi: „Możemy iść w kierunku dżungli, lub w kierunku stopniowego wytwarzania coraz istotniejszych warunków kultury. Na tej drugiej drodze możemy się jednak utrzymać tylko po przez podniesienie w całej naszej zbiorowości poczucia znaczenia ludzkiego honoru, jako najwyższego dobra jednostki, otoczonego szczególną opieką zarówno prawa, jak też — co ważniejsze — zdrowego instynktu moralnego w stosunkach publicznych".

ZAZDROŚĆ NIEZDROWA

W „Kurierze Warszawskim“ z przed kilku tygodni (z dnia 5.VIII r. b.) ukazał się wysoce charakterystyczny artykuł, wart dyskusji, zagadnienie bowiem, którego dotyka, jest znacznie głębsze, niżeli to się pozornie wydaje.

Artykuł dotyczy zagadnienia turystyki. Autor, p. T. R., porusza to zagadnienie z punktu widzenia przede wszystkim gospodarczego. Chodzi mu o rewizję poglądu na kwestię, kto jest właściwie istotnie wartościowym turystą. Ostatnie lata bowiem — jego zdaniem — „przyniosły pod tym względem pewne nowe poglądy i doktryny często opaczne i bałamutne. Wnioski na tych teoriach oparte były również błędne jak i akcja doktrynami tymi podyktowana“.

Cóż to za wnioski i jakaż to akcja?

Otóż Autor przeciwstawia się w ten sposób dwóm typom turystyki: wycieczkom młodzieży i masowym wycieczkom wiejskim. Uczestnicy tych wycieczek są dla niego „turystami“ w cudzysłowie. Dlaczego? — Bo: „byliśmy na tyle niedyskretni, że nie raz wypytywaliśmy się o zasoby tych „turystów“. Przeważnie nie mieli ani grosza, a uczestnik mający np. 2 złote uchodził wśród towarzyszów niedoli za bogacza“.

I tutaj następuje wypowiedź:

„Co po takich turystach Warszawie, czy jakiemu innemu miastu? Dołożyła do nich kolej, bo mieli 66, a może 80% zniżki; w Warszawie nie mieli zapewne na nocleg w owym milionowym pałacu“.

„Nie da się zaprzeczyć, że wycieczkowicze ci, nie przynosząc nikomu żadnej korzyści, sami skorzystali bardzo, oczywiście nie tyle materialnie, co moralnie. Tym też tłumaczą się wszelkie ulgi z jakich przez cały czas korzystali. Dołożyła do nich kolej, ów „Pałac noclegowy“ na rogu Starynkiewicza i Al. Jerozolimskich i zapewne jakieś dobroczynne jadłodajnie. Ulgi te kosztowały podatników i były wytłumaczone korzyściami, uzyskanymi przez te tysiące poleszuków, wołyniaków, huculów i związane z tym wrażenie, ale i w tych świadczeniach trzeba mieć pewien umiar i pewną proporcję“.

Tej „błędnej“ akcji, wynikającej z „opacznych doktryn“, Autor przeciwstawia następujący program pozytywny:

„Może lepiej byłoby przysporzyć podatnikom własnym trochę dochodów z turystyki dochodowej, a potem dopiero pociągać ich, jak np. warszawiaków, do budowy arcykosztownych gmachów na użytek wycieczkowiczów darmowych lub 50 procentowych.

Jeszcze raz zastrzegamy się, że nie może nikt mieć nic przeciw filantropii „turystycznej“ i każdy docenia korzyści, jakie stąd mają obdarowani i uprzywilejowani pasażerowie z dalekiej i biednej prowincji. Ale równowaga jest konieczna i pewna harmonia w wydatkowaniu niezbędna.

Będzie to zgodne nie tylko z interesem ludności, ale i z elementami buchalterii. Bo trzeba naprzód zdobyć choćby najskromniejsze zasoby, a potem z nich oględnie na poleszuków i hucułów szałować“.

*

Bezpośrednio pod artykułem powyższym, jak gdyby dla podkreślenia jego wniosków, następuje komunikat, wyliczający szereg zniżek kolejowych, 50 i 66%, przysługującym wszystkim posiadaczom kart uczestnictwa Ligi Popierania Turystyki. Przeciwko tej „filantropii“ dla ludzi zamożnych, Redakcja nie zgłosiła już żadnych zastrzeżeń, które wyczerpane zostały w artykule, dotyczącym „opacznej“ doktryny udzielania ułatwień i zniżek również i „pasażerom z dalekiej i biednej prowincji“, owym „poleszukom, wołyniakom i hucułom“, przeważnie nie mającym 2 złotych w kieszeni.

*

Artykuł ten nazwaliśmy wysoce charakterystycznym. Jest on charakterystyczny wielokrotnie. Primo: jako wyraz nieprawdopodobnego wprost braku kontaktu Autora z współczesnym życiem Europy. W dobie niemieckiej „Kraft durch Freude“, włoskiej „Dopolavoro“, tego rodzaju stosunek do nieśmiałych prób organizowania masowej turystyki w Polsce uderzać musi parafiańszczyzną sposobu myślenia i obserwacji, brakiem zdolności doceniania momentów społecznych, podkreślonym jeszcze wydatnie przez wybranie właśnie owych „poleszuków, wołyniaków i hucułów“ za przedmiot bezpośredniego ataku na całość akcji.

Szczególnie charakterystyczny jest również drugi moment: taniej i niezdrowej zazdrości z powodu udostępnienia pewnych ulg i ułatwień ludziom, którzy wzamian nie mogą dać odpowiednich świadczeń materialnych. Jest to zresztą połączone z zupełną niezdolnością oceny różnicy kalkulacji kosztów przy organizacji masowej w stosunku do kosztów indywidualnych. Nade wszystko zaś jest to niezmierne oderwanie się od polskiej rzeczywistości właśnie w zakresie opłat kolejowych, których cechą jest obdarowanie przeróżnymi ulgami i zniżkami taryfowymi, stałymi i wyjątkowymi, wszystkich, prócz właśnie najbiedniejszej kategorii pasażerów, tych mieszkańców „dalekiej i biednej prowincji“ („poleszuków, wołyniaków i hucułów“), którzy na pewno w bezporównania mniejszym stopniu korzystają ze zniżek i ułatwień kolejowych, niżeli wyzyskiwani, zdaniem Autora, „warszawiacy“.

Najbardziej jednak charakterystycznym momentem jest tu odbicie podstawowego grzechu w naszym sposobie myślenia o sprawach natury społeczno-gospodarczej, to jest ujmowanie tych spraw z punktu widzenia interesów szczupłej liczebnie grupy Narodu, owych 10% ludzi stosunkowo zamożnych czy lepiej zarabiających, którzy potrafili niejako narzucić pogląd, że miernikiem kultury Narodu jest stopień ich kultury, miernikiem stanu gospodarczego jest stopień zaspokojenia ich potrzeb, wskaźnikiem polityki społecznej — czuwanie, by ich przywilej w stosunku do reszty społeczeństwa, pozostałych 90% Narodu, w niczym nie został naruszony.

Pogląd ten, pragnący stabilizować dzisiejszy stan rzeczy, przy którym jesteśmy w Europie krajem wyjątkowej wprost rozpiętości pomiędzy wygodą egzystencji niektórych, stosunkowo nielicznych — i równoczesną nędzą i upośledzeniem właśnie tych najliczniejszych — jest niezmiernym niebezpieczeństwem z punktu widzenia zdrowego rozwoju naszych stosunków: wytworzenia istotnych warunków kultury całego kraju i całego społeczeństwa.

Stąd oderwany może i wyjątkowy w jaskrawości zarysowania problemu, bynajmniej jednak nie tak odosobniony w nastroju i sposobie rozumowania, głos p. T. R., wydrukowany w piśmie poczytnym i wpływowym, zasługiwał na uwagę. Zasługiwał, oczywiście, nie dlatego, by się z nim liczyć, lecz by jasno zarysowało się zagadnienie konieczności planowej walki z tego rodzaju poglądami, czy nastrojami.

List do Redakcji

Już po złamaniu niniejszego numeru otrzymaliśmy, z prośbą o wydrukowanie, list następującej treści:

Szanowny Panie Redaktorze!

W tygodniku „Merkuriusz Polski“ z dnia 4-go bm. ukazał się artykuł pod tyt. „Okruchy tygodnia“, zawierający szereg kłamliwych i napastliwych uwag pod moim adresem. Ze względu na niski i niepoważny poziom artykułu nie widzę potrzeby zastosowania wobec oszczercy innego sposobu reakcji jak wniesienie skargi o zniesławienie, którą kieruję do właściwego sądu.

Proszę uprzejmie o umieszczenie powyższego oświadczenia na łamach poczytnego pisma WPana oraz o przyjęcie wyrazów prawdziwego poważania.

Mieczysław Chmielewski.

C. K. Norwid

FRASZKA

Dewocja krzyczy: „Michelet wychodzi
z kościoła!
Prawda; dewocja tylko tego nie postrzegła,
Że za kościołem człowiek o ratunek woła,
Że kona, że, aby krew go nie ubiegła,
To ornat drze się w pasy i związuje rany...

A faryzeusz mimo idzie zadumany...

1851

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Ważkie imponderabilia

(z. d.) Rozwój gry politycznej, która toczy się o stawkę sudecką, jest tak szybki, że nie podobna za nim nadążyć, pisząc w odstępach dwutygodniowych. Z konieczności więc musimy pomijać w Notatniku wszystko, co jest w zagadnieniu sudeckim zmienne, a szukać w nim lub dokoła niego momentów stałych.

Z takiego punktu widzenia najważniejszym faktem do zanotowania jest stałe wzmaganie się międzynarodowego charakteru gry o Sudety. Minął już czas, kiedy mogło się wydawać, że Berlin i Praga będą rozmawiać w cztery oczy, względnie, że Berlin rozprawi się z Pragą bez aktywnego udziału stolic trzecich, nawet Paryża. Dziś stało się jasne, że jeśli Berlin będzie się chciał „rozprawić z Pragą", czyli przeprowadzić w stosunku do Czechosłowacji przy pomocy siły zbrojnej program maksymalny, to będzie musiał rozprawić się i z innymi partnerami. Jakakolwiek drastyczna akcja Berlina w Sudetach możliwa jest dziś tylko w ramach generalnej rozgrywki Niemiec o ich pozycję w świecie.

Stwierdzenie takiego rozwoju sprawy sudeckiej wzmaga aktualność często rozważanego zagadnienia stosunku sił mocarstwowych w skali światowej. Jest to zagadnienie zarówno natury materialnej jak i moralnej, dotyczy narówni zagadnień techniki i kultury, życia gospodarczego i duchowego narodów. Otóż w tej drugiej, moralnej dziedzinie mamy na tle ostatnich wydarzeń szerokie pole do obserwacyj.

*

W poołwie bieżącego miesiąca zbierają się Rada i Zgromadzenie Ligi Narodów. Rok temu, na marginesie dyskusji nad konfliktem japońsko-chińskim można było z całą słusznością zauważyć, że państwa kierujące de facto tą Instytucją, wielkie demokracje Anglia i Francja, są niezdolne do jakiegokolwiek działania, grożącego uwikłaniem ich w wojnę. W okresie dyskusji genewskiej nad zagadnieniami Dalekiego Wschodu dał się przeprowadzić słuszny podział państw na bezwolne, niezdecydowane demokracje, zrzeszone w Lidze Narodów, szukające bezpieczeństwa w prawnych formach traktatu, oraz zdeterminowane państwa dyktatorskie, zdecydowane użyć w każdej chwili swe potężne armie dla łamania istniejących praw i traktatów. Dziś natomiast podział taki nie da się już przeprowadzić. Wielkie demokracje, Anglia i Francja, kierujące Ligą, gotowe są bić się i nie tolerować dłużej wywrotowej polityki międzynarodowej państw dyktatorskich.

W łonie narodów Europy Zachodniej, żyjących w ramach ustroju demokratycznego i nie posiadających żadnych terytorialnych dążeń ewolucyjnych, dokonał się w ostatnich czasach głęboki przełom psychiczny. Świadomość, że nie podobna utrzymać stale wielkiej pozycji mocarstwowej jeśli nie jest się gotowym poprzeć w każdej chwili słowa mężów stanu akcją armii, świadomość uśpiona w ostatnich latach pod wpływem mirażu zbiorowego bezpieczeństwa w ramach paktu Ligi, odżyła i zaczyna jakby wibrować w świecie wielkich demokracyj ze zdwojoną siłą. Opinie obserwatorów są prawie bez wyjątku zgodne co do tego. Zarówno społeczeństwo francuskie, jak i angielskie, przygotowane są psychicznie do wojny, mają silne przekonanie konieczności reagowania zbrojnie na pewne wydarzenia międzynarodowe, nie dające się w żaden sposób pogodzić z pojęciem prawa. Ewolucji tej w łonie społeczeństw demokratycznych Europy Zachodniej idą na spotkanie nastroje panujące po drugiej stronie Atlantyku, w Stanach Zjednoczonych. Widzimy to w ciągłych enuncjacjach osobistości urzędowych USA, w których podkreśla się wspólnotę ideową Stanów, Anglii i Francji i żywy udział Federacji amerykańskiej w aktualnej polityce demokracyj zachodnioeuropejskich, określanej mianem polityki obrony pokoju. Ostatnio mogliśmy przekonać się o tym z okazji uroczystości odsłonięcia u ujścia Girondy we Francji pomnika uczczenia udziału Stanów Zjednoczonych w wielkiej wojnie, pomnika, noszącego wymowny napis: „Na chwałę Amerykan, żołnierzom generała Pershing'a, obrońcom tegoż ideału prawa i wolności, który prowadził ochotników La Fayette'a". W miejscu, gdzie lądowały w roku 1917 pierwsze oddziały amerykańskie, a w roku 1777 wyruszyły w drogę statki z ochotnikami francuskimi, mającymi wziąć udział w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych, obecny ambasador USA we Francji, Bullit, nie wahał się zawołać: „Ameryka nie jest już dalekim kontynentem, dla którego burze i walki za morzem byłyby obojętne i pozbawione niebezpieczeństwa" i powoływać się na wspólnotę ideową, która „umożliwia ścisłą współpracę Francji i Stanów Zjednoczonych".

Można nawet twierdzić, że jak w Niemczech rozwija się mistycyzm „misji dziejowej rasy germańskiej", w objęciach którego Niemcy idą do celów politycznych nieograniczonych, nie dających się urzeczywistnić inaczej, jak przez wygranie nowej wielkiej wojny, tak w państwach demokratycznych Europy Zachodniej rozwija się mistycyzm obrony prawa i wolności, ideałów sprawiedliwości i etyki chrześcijańskiej, w imię których pokojowe społeczeństwa demokratyczne gotowe są znów przeciwstawić się zbrojnie Niemcom.

*

Ewolucja, która się dokonała w łonie społeczeństw demokratycznych Europy Zachodniej, posiada znaczenie, przekraczające daleko zakres zagadnień mocarstwowych. Posiada ona doniosłe znaczenie ogólnoludzkie.

Zadaje ona kłam twierdzeniom, że w dzisiejszych warunkach życia ustrój demokratyczny jest równoznaczny ze słabością i chwiejnością, że swobody demokratyczne czynią społeczeństwa niezdolnymi oprzeć się zmilitaryzowanym masom obywateli państwa totalnego. Okazuje się również na tle przemiany nastrojów społeczeństw demokratycznych, że ustrój ten daje społeczeństwu bezcenną zdolność przystosowania się do najbardziej rozmaitych nastawień polityki zagranicznej państwa. W latach powojennych, szczególnie w ciągu kilku ostatnich lat, społeczeństwa demokratyczne dowiodły, jak szczerze i uczciwie pragną pokoju, a co ważniejsze, w jak wielkim stopniu szanują prawo wtedy, kiedy po odniesionym druzgocącym zwycięstwie mogłyby je na każdym kroku łamać. Dowiodły społeczeństwa demokratyczne, że gotowe są ponieść nawet ciężkie ofiary materialne, moralne i polityczne dla zachowania pokoju, a teraz znów okazują, że mimo swego głębokiego przywiązania do pokoju są jednak gotowe bronić z bronią w ręku ustalonego z ich udziałem prawa.

W przeciwieństwie do tego systemy totalne wykazały jednostronne nastawienie wojenne, niezdolność do życia w spokoju. W Japonii widzimy, jak w miarę wzrostu faktycznej dyktatorskiej władzy politycznej armii topnieją, raczej stopniały wszelkie szanse uczciwego, opartego na uznaniu praw ludzkich porozumienia z Chinami, bratnim narodem azjatyckim. We Włoszech nie wystarczył podbój Abisynii i zdobycie przez to nowej, olbrzymiej rozmiarem i bogatej w dary natury przestrzeni życia. Wojska totalnych Włoch ledwie powróciły z wyprawy abisyńskiej udały się do Hiszpanii na polityczny podbój półwyspu Iberyjskiego i z wyraźnymi terytorialnymi zamiarami w odniesieniu do Balearów. W Niemczech cóż oznaczało dokonanie Anschlussu, scalenie w ramach jednego państwa prawie całego narodu niemieckiego? Czyżby powstało przekonanie, że już tylko brak Niemców Sudeckich w państwie Wielkoniemieckim, że już tylko ten ostatni cel narodowy pozostał do osiągnięcia? Bynajmniej! Anschluss rozbudził w Niemczech mistycyzm, dla którego cele narodowe nie dają się ograniczyć żadną miarą. „Frankfurter Zeitung" odzwierciadla doskonale ten mistycyzm, pisząc po Anschlussie, że „w dniu 11 marca wieczorem historia dziesiątków lat skoncentrowała się w jednej stanowczej decyzji i w jednym śmiałym czynie, które stworzyły nowy początek". „Deutsche Allgemeine Zeitung" określała Anschluss jeszcze dobitniej jako zmianę, która „odpowiada polityce kontynentalnej w wielkim stylu, misji niemieckiej, realizacjom niemieckim, które od epoki Bismarcka wydawały się niemożliwymi".

W takich warunkach pokój da się utrzymać oczywiście tylko przez wyrwanie Niemiec z atmosfery psychicznej, w której dziś żyją. Możliwe to jest chyba tylko w następstwie zadanej Niemcom w polityce międzynarodowej jakiejś ciężkiej porażki. Taką porażką byłoby np. zdecydowane i niedwuznaczne wypowiedzenie się szeregu państw przeciw stosowanym dotychczas przez Niemcy metodom polityki zagranicznej. Jednym słowem jasne i niedwuznaczne, solidarne wypowiedzenie się przeciwko metodom niemieckiego rewizjonizmu. Czy jednak ustrój totalny zdolny jest żyć inaczej jak w ekstazie dynamizmu?

Być może, iż odpowiedź na to pytanie zadecyduje w przyszłości o pokoju i wojnie.

*

Idea obrony prawa i wolności, która przyświeca demokracjom i stanowiłaby dla nich motyw ewentualnej interwencji zbrojnej w polityce międzynarodowej, jak tylko zjawia się na terenie Ligi Narodów ulega gruntownej deformacji. Do Ligi nie należą Niemcy, Włochy i Japonia, związane z sobą paktem antykominternowskim, a natomiast są jej aktywnym członkiem Sowiety. W dodatku Sowiety są sojusznikiem Czechosłowacji, zagrożonej przez jedno z państw antykominternowskich. Gotowość zachodnich demokracyj do działania zbrojnego może więc być skierowana przez mechanizm sankcyj ligowych na teren rozgrywki między kominternem i trzema państwami antykominternowskimi. W ten sposób ewolucja psychiczna w łonie państw demokratycznych, która doprowadziła je do zajęcia mocnego stanowiska w stosunku do międzynarodowych zagadnień dnia, przechylając wagę sił na niekorzyść Niemiec, wytwarza równocześnie sytuację dla nich korzystną. Wszelka interwencja Sowietów przeciwko Niemcom zwiększa szanse czynnego wystąpienia Włoch i Japonii po stronie Niemiec. Moment sowiecki wywiera również duży wpływ na politykę państw, położonych na drodze z Rosji do Niemiec. Państwa te czują się duchowo bliskie demokracjom zachodnim, lecz ze względu na swe położenie geograficzne muszą unikać udziału w takiej akcji międzynarodowej, która może przeobrazić się w wojnę demokracyj zachodnich oraz bolszewizmu przeciwko Niemcom, Włochom i Japonii. Szczególnie, że państwa wschodnio - europejskie nie mają, jak Sowiety i po części Anglia i Francja, jednakowego nastawienia politycznego w stosunku do trzech państw antykominternowskich. Liga Narodów, w której biorą udział Sowiety, a szczególnie sojusz sowiecko-czechosłowacki sprawiają, że ewolucja nastrojów społecznych w Anglii i Francji w kierunku gotowości do zbrojnego poparcia głosu prawa nie może mieć dostatecznej reperkusji w łonie narodów wschodnio - europejskich. Tym samym zaś zagadnienie zwartego frontu obrony prawa i pokoju w Europie nadal pozostaje najeżone trudnościami.

O NAS U OBCYCH

Zagranica o stosunkach polsko-niemieckich

Na łamach większości prasy francuskiej (są wyjątki, ale bardzo nieliczne) prowadzi się w dalszym ciągu utrzymaną w nieprzyjaznym dla Polski duchu akcję prasową, polegającą na przedstawianiu w jak najczarniejszych barwach przyszłych losów Polski, która rzekomo związała się politycznie z Rzeszą narodowo-socjalistyczną na śmierć i życie i nie decyduje się na żaden krok i posunięcie bez uprzedniego zasięgnięcia opinii i uzgodnienia go z Berlinem. Z francuskiej prasy prowincjonalnej dziennik *„Lyon Républicain"* zaklina Polskę na jej „przeszłość męczeńską i bolesną", by zerwała z nie odpowiadającym jej partnerem i zwróciła się ku swym dawnym sojusznikom, którzy przyczynili się do przywrócenia jej niepodległego bytu. Polityka polska robi — zdaniem cytowanego pisma — w chwili obecnej wszystko, by do tego zbliżenia nie dopuścić. Podtrzymywanie np. napiętych stosunków z Czechosłowacją w jakiejś nieokreślonej bliżej nadziei na spodziewany rozbiór tego państwa jest — zdaniem pisma — niegodne kraju, który sam został podzielony, a teraz chciałby stanąć przy boku nowych zaborców.

W mniej patetycznym tonie są utrzymane wywody paryskiej *„La République"* na temat stanu stosunków polsko - niemieckich w obliczu wypadków gdańskich. W wywodach tych, utrzymanych w tonie obiektywnym i spokojnym, podkreśla się, że zaognienie sytuacji na odcinku gdańskim może przyczynić się do poważniejszego zakłócenia obecnych stosunków polsko - niemieckich, regulowanych paktem z 1934 r. Zdaniem pisma pakt ten należy uważać za prowizorium, za którym kryje się wyraźnie interes Polski. Pismo zwraca uwagę na to, że polski charakter obszarów, ku którym zwraca się agresja niemiecka, nie ulegał żadnej wątpliwości w chwili zawierania paktu i że po latach dziesięciu sytuacja na tym odcinku będzie dla Polski jeszcze pomyślniejsza, gdyż w międzyczasie zostanie tam przeprowadzona pełna stabilizacja polskich wpływów politycznych, gospodarczych i kulturalnych. Sam pakt jest więc niczym innym, jak reasekuracją Polski przeciwko ewentualnemu jej przeciwnikowi, jakim mogą tylko być Niemcy. Tego samego rodzaju stanowisko zajmowały w r. 1914 Włochy wobec Austro - Węgier. Inny jednak jest aspekt dyplomatyczny wzajemnych stosunków, a inny aspekt uczuciowy. Polacy — powiada pismo — są tak samo nastawieni antyniemiecko, jak antyaustriacko byli nastawieni w r. 1914 Włosi.

Spośród innych wypowiedzi na tematy polsko - niemieckie zasługuje jeszcze na uwagę zamieszczony w jednym z ostatnich numerów wydawanych przez emigrację niemiecką *„Deutschland - Berichte"* artykuł p. t. „Niemcy i Polska", analizujący możliwości niemieckiego parcia na wschód w kierunku Polski. Mimo uregulowanych paktem z 1934 r. stosunków wzajemnych — czytamy tam — istnieją wciąż jeszcze między obu państwami płaszczyzny tarć pod postacią sprawy Gdańska, Pomorza i mniejszości narodowych. W chwili obecnej nie można w ogóle myśleć o jakimś pokojowym uregulowaniu tych spraw. Ewentualna aneksja Gdańska przez Rzeszę zagroziłaby strategicznie terytorium Pomorza i dostępowi Polski do morza. Z drugiej strony polski charakter Pomorza nie ulega żadnej wątpliwości i nie zmieni go w żaden sposób rozwijana na szeroką skalę aktywność polityczna elementu niemieckiego w Polsce. Artykuł podkreśla dalej, że jak z jednej strony pakt z 1934 r. oddał niesłychane usługi Rzeszy narodowo-socjalistycznej na forum międzynarodowym, tak z drugiej strony dużym sukcesem polityki polskiej stało się skierowanie polityki niemieckiej ku południowi, m. in. ku Czechosłowacji. Okres trwania paktu chce Polska wykorzystać dla umocnienia swej pozycji międzynarodowej przez zrealizowanie szeregu koncepcyj politycznych, spośród których na pierwszy plan wybija się koncepcja bloku państw neutralnych na linii Bałtyk - Morze Czarne. Tutaj — zdaniem „Deutschland Berichte" — tkwi zarzewie ewentualnego nowego konfliktu polsko - niemieckiego. Koncepcja bloku państw neutralnych stoi w pełnej sprzeczności z tendencjami ekspansywnymi Niemiec w kierunku wschodnim: realizacja takiej koncepcji krzyżuje plany niemieckie w odniesieniu do wschodu europejskiego, podczas gdy równocześnie dla Polski stanowi ona powstrzymanie i podcięcie usiłowań niemieckich do podporządkowania sobie wschodu europejskiego. Niemcom bowiem chodzi nie tylko o Pomorze, ale również i o Ukrainę. Ponieważ pod względem gospodarczym Niemcy nie przedstawiają dla Polski większego niebezpieczeństwa, gdyż udział Niemiec w życiu gospodarczym Polski wynosi 19%, t. zn. tyle, ile wynosi udział Anglii, realizacja planów niemieckich na wschodzie europejskim może dojść do skutku jedynie w zbrojnej rozgrywce. Na taką zaś ewentualność przygotowuje się w przyspieszonym tempie Polska, usiłując zyskać na czasie i odpowiednio umocnić się zarówno wewnętrznie, jak i na forum zewnętrznym.

PRZEGLĄD PRASY

Przed wyborami samorządowymi

Ogłoszenie w „Dzienniku Ustaw" z 29.8 wyborów samorządowych wywołało na łamach prasy codziennej żywą dyskusję na temat samego zagadnienia i roli wyborów w dzisiejszej rzeczywistości polskiej oraz na temat szans, z jakimi do tychże wyborów przystępują ugrupowania.

Sprawie pierwszej — roli wyborów w dzisiejszej rzeczywistości polskiej poświęca interesujące uwagi *Dziennik Polski* (nr. 245), analizując na wstępie rolę samorządu polskiego w życiu kraju na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat:

„Uświadamiamy sobie dobrze znaczenie tych wyborów. Znaczenie wybrania około 700.000 ludzi w Polsce, którzy są potrzebni, by aparat samorządu terytorialnego działał sprawnie.

Rozporządzamy bowiem pod tym względem sumą niemal 20-letnich doświadczeń i wiemy, że idea samorządowa w Polsce przechodziła bardzo poważne przesilenie. Wiemy, że próbowano ją oprzeć na zgoła fałszywych doktrynach: na oparciu mianowicie samorządu na wartkim, wciąż zmiennym i płynnym nurcie politycznych walk i rozgrywek. Rada gminna czy miejska miała — wedle tych doktryn — być odbiciem i siedzibą wiecznie zmieniającvch się nastrojów politycznych, miernikiem „siły" poszczególnych ugrupowań i partii politycznych.

I wiemy też, jak smutne były rezultaty tej doktryny: zastój w rozwoju społecznym, gospodarczym i kulturalnym wsi i miast, zastój, który w prostej drodze wiódł do materialnego bankructwa. Przelicytowujące się dla zdobycia taniej popularności partie w radach gminnych i miejskich prowadziły gospodarkę lekkomyślną, zbytkowną często, polegającą przeważnie na zaciąganiu niespłacalnych długów. Samorząd stanął nad otchłanią bankructw...

Widzieliśmy to w stolicy, widzieliśmy w szeregu większych i mniejszych miast, widzieliśmy również i na wsi.

Toteż trzeba było przerwać to zgoła niepożądane, a ze stanowiska zarówno państwowego, jak i narodowego, oraz żywotnych interesów samego samorządu — niebezpieczne widowisko. Przyszło ideę samorządu terytorialnego oprzeć o zgoła inną podstawę. Stanowi ją myśl „odpolitycznienia" samorządu".

Meritum powyższych uwag streszcza się więc w stwierdzeniu, że obecne wybory odbywać się będą pod znakiem odpolitycznienia samorządu. W związku z tym, że w niektórych kołach tego rodzaju koncepcja spotkała się z fałszywymi interpretacjami, dziennik daje następujące wyjaśnienie:

„Koncepcja ta spotyka się dotąd jeszcze z fałszywymi interpretacjami. Odpolitycznienie samorządu nie znaczy bynajmniej — jak to podsuwają agitatorzy partyjni — że życie polityczne w kraju ma być krępowane. Znaczy to tylko, że w obrębie samorządu, na terenie działań samorządowych, jest czynnikiem zbędnym i niepotrzebnym. Nie znaczy to również bynajmniej, że wyznawca pewnych zapatrywań politycznych, członek partii, ma znaleźć się poza orbitą samorządu. Znaczy tylko, że człowiek taki może doskonale dawać wyraz swym poglądom politycznym, gdziekolwiek bądź, natomiast na zagadnienia i prace samorządu winien spoglądać nie sub specie swych politycznych doktryn, ale tych właśnie celów, którym rada miejska czy gminna służy. Bo to, czy we wsi ma być zbudowana nowa szkoła, postawiony most na rzece, ulepszona nawierzchnia drogi gminnej — nie jest bynajmniej „politicum". Tak samo jak nie jest nim kwestia, mająca być rozstrzygnięta przez radę miejską, czy w mieście trzeba zająć się kanalizacją, zbudować nowoczesną rzeźnię, ulepszyć sieć komunikacyjną itd.

Sprowadzenie samorządu do właściwych mu zadań i obiór dla spełnienia tych zadań właściwych ludzi — i to niezależnie od ich politycznego „nastawienia" — jest zadaniem, które właśnie mamy zrealizować".

„Opozycje"

Kurier Poranny przeprowadził szczegółową analizę postawy politycznej wszystkich tych środowisk politycznych, które występują wrogo wobec zagadnienia konsolidacji w ramach Obozu Zjednoczenia Narodowego. Wywody te — podane w dłuższym skrócie — przedstawiają się następująco:

„Nie byłoby rzeczą łatwą ustalić, kto stanowi dziś tak zwaną „opozycję" i dlaczego znajduje się w „opozycji". Poszczególne grupy „opozycyjne" tym się odznaczają, że przede wszystkim oponują sobie nawzajem. Ostrość tych wzajemnych „opozycyj" w fikcyjnym „obozie" opozycyjnym wzrasta, jak to już zauważono, w miarę jak programy danych grup zbliżają się do siebie...

Opozycja jest rozparcelowana na dziesiątki klik i kliczek, poprzedzielanych od siebie chińskimi murami, tworzących zamknięte ghetta, wzajemnie się wyklinające, nietolerancyjne w najwyższym stopniu, nieprzejednane we wzajemnych nienawiściach. Każda z tych grup myśli przede wszystkim o tym, że zapanuje nad inną, w tym kierunku wysila wszystkie zdolności swoje oraz swoich nieszczęsnych członków. Każda sądzi, że ona kiedyś zawładnie Polską w sposób niepodzielny, wyłączny totalny.

Nigdy bowiem totalizm myślowy i psychiczny nie poczynił takich postępów jak właśnie w środowiskach opozycyjnych, piorunujących jednocześnie przeciw urojonemu niebezpieczeństwu totalizmu ogólnego, przeciw rzekomej nietolerancji ustroju, w jakim żyjemy, a któremu przeciwstawia wzniosłe przykłady systemu angielskiego. Antytotalizm wysuwany jest jako hasło na zewnątrz, jako tytuł do walki o nieograniczone prawa polityczne dla danej grupy. Na wewnątrz stosuje się totalizm najbardziej bezwzględny.

Grupa partyjna, oczywiście antytotalistyczna, zakazuje czytania swoim członkom dzieł i publikacji, wychodzących z poza jej wąskiego środowiska, nie pozwala na utrzymywanie stosunków towarzyskich z ludźmi innej grupy, stoi na stanowisku, że wszystko, co się poza nią dzieje jest złe, fałszywe, szkodliwe i zdradzieckie, potępia wszystko, co robią inni, pilnie przestrzega, by w jakimkolwiek punkcie nie wyrazić solidarności z przeciwnikami, wszystkie wysiłki poświęca wyszukiwaniu tego, co dzieli, i rozdmuchiwaniu „dzielących" formułek do nieprawdopodobnych rozmiarów.

Na tym tle wytwarza się atmosfera nie tylko mafijna, ale wprost sekciarska. Członek sekty partyjnej musi wierzyć w to, co mu podaje się do wierzenia w formułkach niezmiernie prymitywnych. Nie wolno mu samodzielnie myśleć, nie wolno mu czytać, rozmawiać. Zetknięcie się z kimś, nie należącym do danego ghetta, uważa się za czyn hańbiący. W niektórych szcze-

gólnie tępych środowiskach psychoza ta doszła do rozmiarów obłędu. Za objaw zdrady narodowej uważano tam na przykład zetknięcie się z wojewodą, czy starostą...

Wszystkie te zakazy i nakazy wydawane są w imię najwznioślejszych zasad politycznych i moralnych, w imię „czystości" walki, z apelowaniem do „siły charakteru", „mocnej woli" itp. W gruncie jednak, wbrew efektownym pozorom, groźne te zasieki, szańce i okopy wznoszone są tylko z powodu wewnętrznej słabości każdej z tych grup. Mury forteczne dokoła ghetta powstają dlatego, bo kierownictwo mafii nie czułoby się na siłach utrzymania autorytetu nad swymi zwolennikami, gdyby zezwalało im na swobodne stykanie się z rzeczywistością oraz z działaniem innych środowisk, jak również na rzeczową, merytoryczną dyskusję.

Wówczas bowiem wielu bardzo ludzi przekonałoby się, że tak, jak oni czują, myślą również gdzieindziej, a niejednokrotnie nie tylko myślą, ale i realizują. Przekonanoby się, że przedziały partyjne opierają się na fikcjach i urojeniach, że wznoszone są sztucznie głównie przez ludzi osobiście obrażonych i służą personalnym namiętnościom jednostek, lub mafijek. Przekonanoby się, że zaciekłość partyjna wielu grup, ich niezdolność do współpracy, wypływa wyłącznie z typowego sobiepaństwa, z nieposkromionej próżności, która nie pozwala danemu „autorytetowi" mafijnemu uznać innego autorytetu nad sobą, ani bardziej przyznać się do błędu i zawrócić ze złej drogi, po której brnie dalej z fałszywie i głupio pojętą „dumą" człowieka „nieprzejednanego".

Zbędny hamulec

Gazeta Polska (nr. 226) zwraca słusznie uwagę na zbyt abstrakcyjne i intelektualizujące podchodzenie społeczeństwa polskiego do wielkich i żywotnych spraw, zagadnień i problemów życia codziennego, utrudniające m. in. niepotrzebnie nieodzowny w naszych warunkach postulat konsolidacji politycznej narodu.

„Pokolenie powojenne Polski — pisze „G. P." — wychowane jest na przykładach walki i czynu i własnymi oczami dnia każdego widzi i ocenia jak wielkie, materialnie uchwytne, a duchowo wyczuwalne dzieła ta walka i ten czyn stworzyły. Zrodzone z wiary, zapału i poświęcenia, wierne hasłu „contra spem spero" szły żołnierskim krokiem najlepsze dzieci Polski, by walczyć ze stokroć silniejszymi wrogami o niepodległy byt państwowy narodu".

„A tymczasem wciąż staje przed nami tylokrotnie powtarzany frazes o „specyficznych właściwościach naszego charakteru narodowego". A więc rzekomo każdy Polak to urodzony indywidualista, nieznoszący żadnych rygorów, zdolny do pożytecznej pracy dla państwa i społeczeństwa tylko z „własnej, nieprzymuszonej woli". W praktyce stosowanie tej zasady paraliżuje wszelkie próby organizacyjne. Zawsze bowiem, wśród każdej gromady ludzkiej znajdzie się dość jednostek czy nawet grup o nastawieniu anarchicznym, aspołecznym, by sparaliżować wszelki twórczy wysiłek — gdy w myśl zasady „wolności nieokiełznanej porządkiem" pozwoli się im na kontrakcję.

I tak jest wszędzie na świecie. Wszędzie istnieją jednostki i grupy pozbawione zdrowego instynktu dyscypliny zbiorowej. Tam gdzie nie dopuszcza się ich do głosu, tam — niezależnie, czy będzie to ustrój autorytatywny, czy demokratyczny — panuje wewnętrzny porządek, a aparat państwowy działa bez zarzutu; tam gdzie akcji anarchizującej się nie przeciwstawia, tam panuje dezorganizacja, a nawet wybucha wojna domowa".

Tymczasem w Polsce:

„Polskie społeczeństwo, a zwłaszcza masy pracujące, chłop i robotnik są wbrew rozpowszechnionym mniemaniom — antytezą nastawienia anarchicznego, aspołecznego. Instynktownie masy te cenią porządek i organizację, rozumieją ich celowość, szanują autorytety. Właściwie prowadzone stanowią niezmiernie wartościowy element składowy organizacji politycznej, zarówno społecznej jak i państwowej".

„Więcej na pewno od innych warstw, o mniej wyraźnym obliczu społecznym — polski chłop i robotnik dojrzeli psychicznie do wejścia w ramy zwartej organizacji politycznej, konsolidującej wszystkie zdrowe siły narodu do pracy nad stworzeniem Polski potężnej, sprawiedliwej, walczącej o dobro swego ludu".

Uwagi swoje kończy „Gazeta Polska" następująco:

„I stąd ten super - indywidualizm „made in Poland" to jedna z wielu legend naszego życia zbiorowego, jeden z najgroźniejszych zbędnych hamulców, nad którym im prędzej postawimy krzyżyk, tym prędzej dojdziemy do upragnionego celu".

Czego chce wieś?

Przeprowadzając szczegółową analizę zagadnienia potrzeb i postulatów wsi polskiej, tygodnik *Zespół* (nr. 23) dochodzi do przekonania, że zagadnienie to jest w różnych kołach społeczeństwa interpretowane niesłychanie dowolnie:

„Konserwatyści mówią, że są święcie przekonani — a oni przecież chłopa znają na wylot, tyle lat siedzą mu na karku — iż chłop chce wyłącznie praw politycznych. Wedle wersji tych panów panuje gorąca miłość między wszystkimi rolnikami, a wszelkie nieporozumienia między chłopem i dworem to rezultat zwariowanych, radykalnych inteligentów. Chłop ma dosyć reform agrarnych, nie chce powiększać swego gospodarstwa inaczej, jak kupując od pana dziedzica ziemię, po cenie, którą on sam — łaskawca — uzna za słuszną. Nienawidzi chłop tylko administracji, bo ona mu odebrała prawa polityczne.

Przeciwny kierunek reprezentują różni spece, co to społeczeństwo umieją organizować na obstalunek, którzy są pewni, że gdyby im tylko naprawdę pozwolono i dano jakie takie możliwości, to cały Naród stałby w szeregu, którby im się widział za słuszny. Ci powiadają tak: my wieś znamy — (najczęściej taki dobrodziej w ciągu kilku miesięcy rozmawiał z jakimiś tam wyrzuconymi z siodła działaczami chłopskimi) do chłopa tylko z realną pracą. Chłop to realista, ma dość zawracania głowy jakąś tam polityką. Trzeba mu pomóc gospodarczo, zorganizować go — koniecznie potrzebne są mundury — i będzie nasz".

Pismo podkreśla w związku z powyższym, że tego rodzaju poglądy są b. dalekie od prawdy i rzeczywistości. Wieś — powiada cytowany tygodnik — istotnie przez dłuższy czas sądziła, że sprawa praw politycznych jest dla niej sprawą najistotniejszą. Fakt ten jednak przyczynił się do powstania wielkich szkód na odcinku zdobyczy społeczno - gospodarczych, z czego dzisiaj wieś zdaje sobie już dobrze sprawę.

Zwracając na ten moment uwagę, pismo przypomina co następuje:

„Nie da się w dzisiejszych czasach oddzielić problemów politycznych od gospodarczych, jest pewne, że osiągnięcia gospodarcze wzmacniają i utrwalają zdobycze polityczne.

Rozumiemy, że w sytuacji, w jakiej znajduje się chłop — zresztą nie tylko chłop — problem praw politycznych jest niezmiernie ważny. Lecz wydaje się, że nawet w takich czasach jednostronność dążeń i działań musi w rezultacie okazać się szkodliwą. Uważaliśmy i uważamy za szkodliwe nie branie udziału niektórych chłopów w życiu samorządu czy organizacyj społeczno - gospodarczych, uchylanie się młodzieży od prac przysposobienia rolniczego. Nie znajdujemy wytłumaczenia dla tego rodzaju polityki".

Gdynia w obliczu nowych zadań

Potrzeby inwestycyjne portu gdyńskiego nie zostały jeszcze całkowicie zaspokojone, powodując ostatnio — na skutek przeciążenia portu pracą — zupełny brak rezerw przeładunkowych. Potrzeby te są przez miarodajne koła i czynniki uznawane w całej pełni, jednak ograniczone środki finansowe nie pozwalają na zaspokojenie całokształtu potrzeb w dostatecznym zakresie. *Kurier Bałtycki* (nr. 203) wskazuje przy okazji, że przyspieszenie i spotęgowanie inwestycyj w porcie jest niezbędne ze względu na otwierające się przed portem gdyńskim nowe możliwości tranzytowe w związku z układem stosunków polityczno - gospodarczych po przeprowadzeniu Anschlussu Austrii:

„Czechosłowacja, Węgry, Rumunia coraz lepiej widzą korzyści, jakie może im dać kierowanie eksportu, zwłaszcza do państw skandynawskich, zachodnio - europejskich, a także portów innych kontynentów przez porty polskie. Polityka taryf kolejowych stwarza dogodne warunki dla rozwoju tranzytu z tych krajów. Niewyjaśnioną narazie sytuacja polityczna w Czechosłowacji, nie pozwala wprawdzie jeszcze na decydującą zmianę dróg, obieranych przez czeski handel zagraniczny, statystyka za ostatnie miesiące wykazuje już jednak znaczne zwiększenie się tranzytu z tego kraju przez porty polskie. Z chwilą, gdy handel zagraniczny Czechosłowacji i Węgier ostatecznie zdecyduje się na uniezależnienie od usług niemieckich czy włoskich portów, należy oczekiwać nowego przypływu ładunków do Gdyni i Gdańska.

Na tę pożądaną ewentualność musimy być przygotowani. Tranzyt czeski przez porty polskie, który w r. 1937 wynosił 1,3 mil. t., ulegnie wtedy dalszemu poważnemu wzrostowi. Trzeba przytym pamiętać, że o ile dotychczas w tranzycie czechosłowackim główną rolę odgrywały ładunki masowe, to w przyszłości należy się raczej spodziewać wzrostu obrotów drobnicą i in. towarami, wymagającymi przy przeładunku znacznie większej ilości urządzeń technicznych niż towary masowe. W nowej koniunkturze politycznej drógą na rynki zamorskie w zupełności niezależnych od nacisku politycznego i kontroli gospodarczej Niemiec, muszą bowiem przede wszystkim szukać wytwory czeskiego przemysłu".

NUMER POPRZEDNI 33—34 ZAWIERA:

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.

Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.